

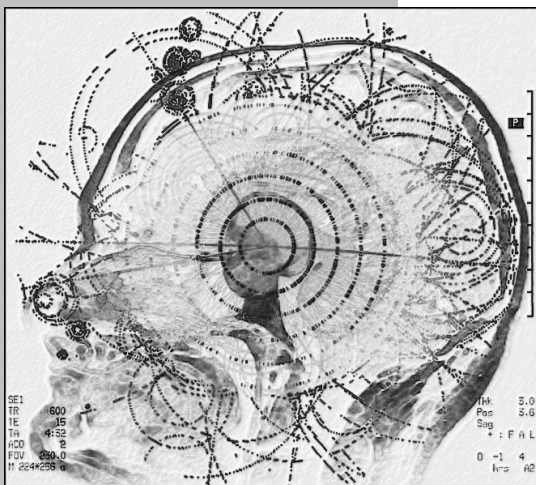
numer 20

ANYTEN MLEK

nieregularnik artystyczny



wydanie jubileuszowe — warszawa, listopad 2004



Anyten Mlek

Numer 20

Anyten powstał pięć lat temu w Hoffmanowej jako eksperymentalna gazetka o dość abstrakcyjnych i niejasnych założeniach bycia "czymś innym". I wraz z upływem czasu rzeczywiście – stawał się, przekształcając z alternatywnej (choć jedynej) gazetki szkolnej w nieregularnik intelektualno-artystyczny, a ostatecznie artystyczny, na łamach którego twórczość swą daleko nie raz zamieszczali również absolwenci, jak i ludzie spoza kręgu jednego liceum. Wielkim problemem Anytena była zawsze niemożność pogodzenia założeń (twórczość na wysokim poziomie) z realiami wydawniczymi, bowiem jego rynek zbytu, jak i źródła, nie były dotąd na tyle obfite, by stał się periodykiem zamiast nieregularnika. Jednakże mimo rozmaitych perypetií (takich jak przerwy wydawnicze, programowa likwidacja oraz rezurekcja dokonana przez nowy zespół redakcyjny), Anyten istnieje już dwadzieścia numerów, trzy tysiące egzemplarzy, pięć lat. Numer niniejszy stanowi wybór tekstów z minionych lat, choć są w nim również utwory wcześniej nie publikowane. Autorzy tych tekstów w przytłaczającej większości są już studentami, więc tym samym przed Anytenem otworzyła się możliwość bycia nieregularnikiem o zasięgu znacznie większym niż dotąd. Zresztą szkoła czy studia to pozór, tak naprawdę jest tylko autor i czytelnik, dwoje ludzi przy jednym stole, możliwość współuczestniczenia. Zaś to, czy zechcesz w Anytenie współuczestniczyć, czy to jako czytelnik, czy to jako autor, czy też jako kolporter (których również potrzeba), zależy od Ciebie. Zapraszamy!

Red. naczelny, korekta: **Ryszard Paweł Kostecki**
(kostecki@fuw.edu.pl)

Skład, dystrybucja: **Mariusz Czarnocki-Cieciura**
(czarny_poczta@interia.pl)

Impression

- Piotrek Witek/**Przejsie** _09
 Zuzia Pacholczyk/**Kruki** _16
 Rysiek Kostecki/**Astronomy** _16
 Ania Galuhn/**Włóczykije** _43
 Łukasz Degórski/**Nx24** _04
 Zuzia Pacholczyk/**Opowieść dla Basi** _27
 Piotrek Witek/**O przechodzeniu mimo** _16
 Zuzia Pacholczyk/**Wszyscy walczymy z ulotkami** _04
 Olek Koziarski/**La granda metafora** _21
 Rysiek Kostecki/**Etiudy** _34
 Zuzia Pacholczyk/**Czołg** _37
 Rysiek Kostecki/**Łoś** _13

Kulinaria

- Zuzia Pacholczyk/**Ciasto** _12
 Rysiek Kostecki/**Znad pomarańczy** _12
 Teresa Szczepińska/**Chleb z rodzynkami** _26
 Magda Rogowska/**Qchnia fizyka** _10
 Marcin Żebrowski/**Regulamin szkolnej stołówki** _11
 Olek Koziarski & Bartek Kołodziejek/**Kalafior** _14
 Konrad Grochowski/**Coś** _31

Laboratorium

- Konrad Grochowski/**Pamiętnik nieznanego naukowca** _15
 Zuzia Pacholczyk/**Zjawisko fotoelektryczne zewnętrzne** _14
 Zuzia Pacholczyk/**Względnosc uplywu czasu** _09
 Paweł Lubowiecki/**Fabryka intelektualistów** _10
 Kasia Łażewska/**Stasiek psycholog** _38
 Piotrek Traczyk/**Warsłownik języka polskiego** _18
 Konrad Grochowski/**Splątanie** _42

Perypetie

- Krzysiek Miernik/**Opowieść o rycerzu bez skazy** _32
 Paweł Lubowiecki/**Bardziej prawdziwa historia Youki Pouka** _22
 Przemek Witrowy/**Alergia** _17
 Konrad Grochowski/**Jak rozpętałem I wojnę kosmiczną** _18
 Adam Gąsiewicz/**Wspomnienia Vadera** _19
 Konrad Grochowski/**Przeminęło z falą uderzeniową** _40
 Zuzia Pacholczyk/**Antonio** _13
 Rysiek Kostecki & Konrad Grochowski/**Dziadek Triceratops** _39
 Paweł Lubowiecki/**Rozdwojenie – Równoległy świat Youki Pouka** _33
 Konrad Grochowski/**Psychoza** _35

Poetica

- Ania Galuhn/**Zielone wstążki ciszy** _16
 Ania Galuhn/**O naturze pyłu który znika** _30
 Tsukinoshi/**Kaluże, ***, ***** _30
 Piotrek Witek/**Milczenie** _29
 Ola Talarska/**Miasto** _30
 Ania Galuhn/**Proszę** _32

Drama

- Rysiek Kostecki/**2001** _27
 Piotrek Witek/**Krfawa niedziela** _31
 Konrad Grochowski/**Sreberko** _05

Varia

- Regulamin sprawności zuchowych** _42
Odnóże redakcyjne _43



Wstępniak

Ryszard Paweł Kostecki



Wczoraj spadł śnieg. Puszysty i mokry, osiadł na drzewach, przylutulił się do nich i powiedział: oto ja. Dzisiaj w promieniach słońca błyszczy się i trochę topi, m ó w i ą c krótko: jest pięknie. Siedzę teraz w pokoju i popijam mate, zaś w tle grają panowie Joe S a m p l e i Chris Botti. Czas napisać wstępniak do jubileuszowego numeru Anytena.

Zadziwiające jest, że Eskimosi mają kilkadziesiąt nazw na różne gatunki śniegu. Ich język w ten sposób oddaje różnorodność ich życia, ich rzeczywistości. Jadąc na saniach pośród mlecznobiałych przestrzeni, człowiek któremu przyszło się tam urodzić opiewa rzeczy mu bliskie, marzenia, radości, troski i historie swojego świata.

Byłem wczoraj w centrum Warszawy. Spotkałem tam bardzo dużo ludzi idących w różne strony. Pomyśleć – każdy z nich niesie ze sobą swój własny świat, swoją własną poetykę, prozę i dramat dnia codziennego; ten jedyny i wyjątkowy śmiech, płacz, przeszłość i przyszłość...

Czytamy książki i uczymy się z nich wielu słów, obrazów i myśli. Jeszcze więcej przychodzi od żywych ludzi których spotykamy wciąż. Zmiana trwa, a nasze środki wyrazu, jak też i samo wnętrze, przemieniają się. Otwieramy kolejne drzwi, mamy w rękach wciąż nowe klucze.

Idziemy więc, płyniemy wraz z innymi wzdłuż trajektorii upływu czasu, pośród ulic miasta, a czasem górskich ucieczek-wycieczek, kreślimy freski dni i chwil niepowtarzalnych, z hałasem telewizorów, rytmem szkół, zajęć i innych wielu rzeczy w tle. I wciąż pozostajemy ludźmi. Zazwyczaj.

"Tak wynikało z koła zdarzeń, że mieliśmy swój egzamin w czasach kiedy jeszcze słowo słyhać było jak dynamit" – śpiewał niegdyś pan Jan Kelus. Trzeba przyznać, że dziś znacznie trudniej być usłyszanym. Wygląda

też na to, że trudniej jest nawiązać kontakt i porozumienie pośród reklam, ulotek, promocji, półnagich kobiet, kurczaków czwartej świeżości i wszystkich tych mrocznych dziwactw współczesności, postmodernizmu i japońskich kreskówek w internecie. A przecież właśnie teraz mały pożółkły listek oderwał się od drzewa i opadł na ziemię. Oczywiście – mało kto ma czas czy chęć słuchać i czytać. To jasne. Nie będziemy jednak wdzierać się z tego powodu paznokciami w oczy, bo po co? Przecież za oknem śnieg na drzewach. Plum.

Twórczość zaś jest otwarciem na to, co przychodzi z zewnątrz. Jakiego zewnątrz? Skąd? – Ba! – Jak to narysowała pani profesor Zofia Rosińska na wykładzie filozofii kultury, z jednej strony mamy transcendencję, z drugiej naturę i nijak tego muru intelektualnie nie przebijemy. I dobrze. Bo po części tylko poznajemy i po części tylko rozumiemy. Wróćmy więc do twórczości. Jeśli jest prawdziwa – innej nie liczę – jest współprzeżyciem, odczuciem, a następnie: daniem wyrazu. Może być też zabawą, układaniem klocków i zamków z piasku – lecz wówczas też stanowi porozumienie, wspólną grę. Inaczej: szuflada, piwnica, kamień, – milczenie. A zatem: wyraz. Jedni powiedzą, że najważniejsze *że w ogóle* się go daje, inni podkreślą to *jak*, inni *co* w owych kształtach *się rodzi i powstaje*. Jeszcze inni poprzez zasłony form, zapewne doceniając ich warsztat czy strukturę, będą łapczywie kąsać treść za nimi ukrytą, chcąc zanurzyć się w jej soczystym miąższu, lub też den podwójnych i n-krotnych zgłębiać symboliczne przestrzenie, zresztą kto ich tam wie. A inni przejdą obok.

Ale przecież i tak nie jesteśmy zbawieni ani z poezji, ani z literatury, ani z uczynków, ani z kwantowej grawitacji, ani z medytacji transcendentalnej, ale z łaski.

I to jest piękne.

Ryszard
Paweł
Kostecki



Wszyscy walczymy z ulotkami...

Zuzia Pacholczyk

Wychodząc z przejść podziemnych na duży plac przed stacją Metro Centrum, natykamy się – jakże często! – na ludzi rozdających ulotki. Od tego momentu można by było pisać właśnie o nich, przekształcić ten tekst w esej o ich tragicznym życiu. Ale nie, nic z tych rzeczy. Są zwyczajnymi ludźmi, chodzą po tym placu w kółko, rozdając ulotki. Ostatnio jednak to zjawisko zaczęło przybierać niepokojące rozmiary, stało się niemal plagą. Odnoszę takie wrażenie, ilekroć tamtędy przechodzę, a zdarza mi się to przecież rzadko, dużo rzadziej, niż tym wszystkim, którzy metrem dojeżdżają do Hoffmanowej. Tutaj autor znowu zmuszony jest przerwać, jako że tekst wyraźnie dąży do powrotu na stare ursynowskie szlaki, a my nie możemy mu na to pozwolić z powodów dla jednych jasnych, a dla innych wyłożonych pewnie gdzieś indziej.

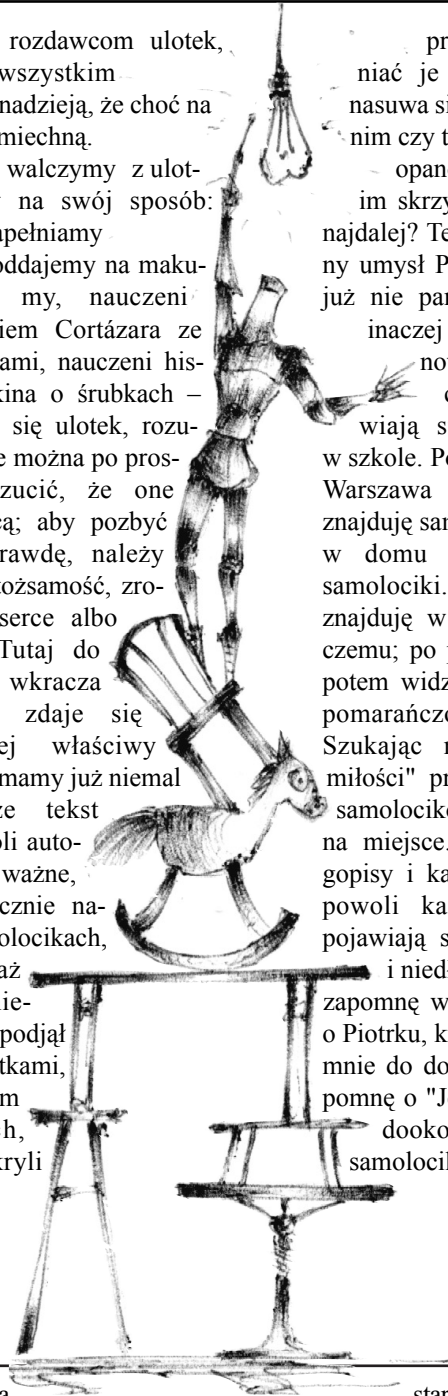
Idąc tamtędy – przez plac nazywający samego siebie niezastuzieniem Placem Once (nie pytajcie, czemu; pewnie czytał za dużo Cortázara) – jestem zasypywana ulotkami; na dworcu Warszawa Śródmieście mam ich nagle – niepojętym sposobem – pełne kieszenie.

Pomyślałam sobie kiedyś, że czas coś z tym zrobić, wykorzystać tę masę kolorowego papieru. Od tamtej pory każda ulotka staje się w moich rękach sercem; mam teraz kieszenie pełne wydzieranych (!) z papieru serc. Daję je

znajomym i rozdawcom ulotek, daję im wszystkim – serca z cichą nadzieją, że choć na chwilę się uśmiechną.

Wszyscy walczymy z ulotkami, każdy na swój sposób: uciekamy, zapelniamy nimi kosze, oddajemy na makulaturę. Ale my, nauczeni doświadczeniem Cortázara ze złotymi rybkami, nauczeni historiami Rankina o śrubkach – o, my boimy się ulotek, rozumiemy, że nie można po prostu ich wyrzucić, że one zawsze wrócą; aby pozbyć się ich naprawdę, należy zmienić ich tożsamość, zrobić z nich serce albo samolocik. Tutaj do opowieści wkracza Piotrek, co zdaje się nadawać jej właściwy kształt, teraz mamy już niemal pewność, że tekst podda się woli autora. To bardzo ważne, trzeba koniecznie napisać o samolocikach, może chociaż Wy zrozumiecie... Piotrek podjął walkę z ulotkami, był jednym z pierwszych, którzy odkryli

prawdę. Zaczął więc zamieniać je w samolociki, choć teraz nasuwa się pytanie: robił to przeciwko nim czy też podstępnie umożliwiał im opanowanie całego świata, dawał im skrzydła, aby mogły dotrzeć jak najdalej? Tego się nie dowiemy, pokrętny umysł Piotrka prawdopodobnie sam już nie pamięta motywacji i tak czy inaczej zmusza do robienia coraz to nowych samolocików. Samolociki więc powstają, pojawiają się na ulicach, w parkach, w szkole. Pojawiają się u mnie, na stacji Warszawa Śródmieście oprócz ulotek znajdują samolociki. Leżą potem u mnie w domu – duże samoloty i małe samolociki. Nadal otwierając zeszyty znajduję w nich PiXela (nie pytajcie, czemu; po prostu tam bywa), ale zaraz potem widzę na biurku samolocik, raz pomarańczowy, innym razem żółty. Szukając mojej "Jedynej i ostatniej miłości" przerzucam tony kolorowych samolocików, przekładam je z miejsca na miejsce. Ginę w nich, gubię długopisy i kartki, samolociki opanowują powoli każdą sferę mojego życia, pojawiają się nawet w każdym zdaniu i niedługo zajmą miejsce PiXela, zapomnę więc o nim, tak jak zapomnę o Piotrku, który je tworzy i wpuszcza do mnie do domu przez otwarte okna, zapomnę o "Jedynej i ostatniej", wszędzie dookoła będą tylko samolociki, samolociki, samolociki...



N x 24

Łukasz Degórski (Ryba)

Przez 24 lata wszyscy nalegali, by Jimmy był dobry. Mamusia, tatuś, babcia, nauczyciele i ksiądz, wszyscy jak jeden mąż. Sam Jimmy też postawił sobie za cel być dobrym. Szło mu nieźle.

Wstał rano, zjadł tosty na śniadanko, wziął teczkę i poszedł do pracy. Po drodze sypanął ziarenek ptaszkom w parku, rzucił dolara żebrakowi w metrze i pogwizdywał wesolo. Pół godziny później, gdy z poczuciem dobrze spełnianego obowiązku

wobec Dobra zasiadł przy swoim małym biurczku, w okno uderzył samolot pełen ludzi.

Przez 24 lata wszyscy nalegali, by Salem był dobry. Tatuś, wuj, stryj, nauczyciele w szkole koranicznej, wszyscy jak jeden mąż. Sam Salem też postawił sobie za cel być dobrym. Szło mu nieźle.

Wstał o świcie, pomodlił się, spędził owocnie kilka chwil na czytaniu Koranu, i pojechał na lotnisko aby nie spóźnić się na samolot. Po dziesięciu minutach od

startu zabił pilota, przejął stery i skierował samolot nad miasto, gdzie z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wobec Dobra uderzył nim w biurowiec.

Przez 24 lata wszyscy nalegali, by Omar był dobry. Dziadek, tatuś, wuj, nauczyciele i imamowie, wszyscy jak jeden mąż. Sam Omar też postawił sobie za cel być dobrym. Szło mu nieźle.

Wstał rano, pomny na wezwanie z pobliskiego minaretu pomodlił się, przez okno pozdrowił sąsiada wychodzącego



właśnie przed dom, włączył radio i słuchając wiadomości przygotowywał śniadanko. Pan w radiu powiedział, że wczoraj wieczorem dzielni policjanci z komisariatu koło jego domu obronili go przed atakiem policji Złych. Omar ucieszył się, że Dobro znów zwyciężyło. Wtedy właśnie rakietka spadła na jego podwórko. Przez 24 lata wszyscy nalegali, by Benjamin był dobry. Mamusia, tatuś, babcia, nauczyciele i rabin, wszyscy jak jeden mąż. Sam Benjamin też postawił sobie za cel być dobrym. Szło mu nieźle.

Wstał rano, zrobił dziesięć przysiadów i wziął się za pompki, przy czym jak zwykle włączył telewizor. Pan w telewizorze mówił, że aby ostrzec policję Złych i zniechęcić ich do nieuzasadnionego atakowania policji Dobrych, co miało miejsce wczoraj wieczorem, ostrzelano lekko ich komisariat. Benjamin ucieszył się, że Dobro znów zwyciężyło i podzielił się szybko swą radością z ukochaną małżonką, która właśnie wróciła z łaźienki.

Przez 24 lata wszyscy nalegali, by Gordon był dobry. Mamusia, tatuś, babcia, nauczyciele i pastor, wszyscy jak jeden mąż. Sam Gordon też postawił sobie za cel być dobrym. Szło mu nieźle.

Zerwał się rano z całą jednostką i wybiegł na plac, gdzie dowiedział się że to dziś. Po apelu i śniadaniu wsiadł do samolotu i godzinę później z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku obserwował jak wrzeczona bomb spadają na dolinę, w której ukrywa się Zły.

Przez 24 lata wszyscy nalegali, by Muhmad był dobry. Ojciec, dziadek, wuj, nauczyciel który uczył go co mówi Księga, wszyscy jak jeden mąż. Sam Muhmad też postawił sobie za cel być dobrym. Szło mu nieźle.

Wstał rano, zjadł szybko kawałek placzka i poszedł na pole, które jak co jesieni wymagało jeszcze wiele pracy, aby Muhmad i jego coraz liczniejsza rodzina nie głodowali w przyszłym roku. I gdy tak w pocie czoła pracował z poczuciem dobrego spełnienia obowiązku wobec

rodziny i Dobra, na małe poletko, muła i jego głowę spadły trzy bomby.

Przez 24 lata wszyscy nalegali, by Andrzej był dobry. Dziadek, mamusia, babcia, pani od polskiego, wszyscy jak jeden mąż. Sam Andrzej też postawił sobie za cel być dobrym. Szło mu nieźle.

Wstał rano, krojąc pomidory włączył telewizor. Na ekranie jakiś ważny pan mówił jak ważne jest to, żeby była sprawiedliwość i nikt nie śmiał zakłócać spokoju jego obywateli. Potem inny pan mówił, że tamten pierwszy pan pierwszy zakłócał spokój jego obywateli i że to właśnie była sprawiedliwość. Potem pan w garniturze mówił że to ci z komisariatu zaczęli. Potem wzburzony pan w szarym pokazał płaczącą matkę. Potem były zdjęcia z bombardowanego poletka, martwy muł, a potem walący się wieżowiec.

Być dobrym... – pomyślał – Najprostsza rzecz w świecie, nie?

Zaśmiał się gorzko i wyłączył telewizor. Ale to nic nie pomogło.

Sreberko

Konrad Grochowski (Groch)

Mowa jest srebrem, więc Wam, drodzy czytelnicy, polecam to, co chciałem tym tekstem Wam powiedzieć.

Milczenie zaś złotem, więc to, co myślałem i czułem, i co z myśli i uczuć tych zawarłem w tym tekście, czyli właściwie cały tekst, dedykuję jedynej osobie, która rozumie mnie, gdy milczę. Jest cenniejsza niż złoto.

Spokojna tafla oceanu migotała srebrzyście blaskiem srebrnego księżycy. Srebrna Flota powoli płynęła ku swemu celowi. Srebrne żagle wisiały w bezruchu oczekując na najmniejszy podmuch wiatru. Statki poruszały się tylko dzięki sile wiosł, napędzanych przez 40 tysięcy świstaków, 24 godziny na dobę zawijających sreberko w sreberko. Karmione co 5 godzin kanapkami zawiniętymi w sreberko, mają wystarczająco siły, by powiosłować dokąd tylko każe kapitan – z czterema srebrnymi orderami i jedną srebrną gwiazdą. Wiosłują więc, przeciwną srebrną taflę. Płyną w stronę wylaniającego się właśnie zza horyzontu słońca.

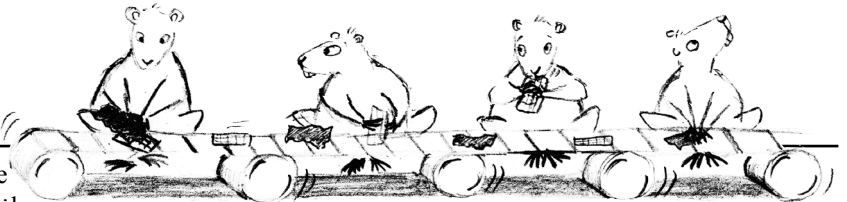
Tymczasem na Wyspie w komnacie Nadwornego Lizusa ustało chrapanie. Mieszkaniec komnaty zerwał się gwał-

townie z łóżka

otoczonego wypływającym srebrnym baldachimem. Ochlapał twarz wodą, której kropelki migotałyby srebrzyście w powietrzu, gdyby nie fakt, że woda od czasu srebrnych godów króla nie była wymieniana. Ponieważ spał w ubraniu (też nie zmienianym od srebrnych godów) nie musiał marnować czasu na ubieranie się, tylko od razu pobiegł do komnaty króla, by jak zwykle być pierwszym kogo król zobaczy po obudzeniu.

Król otworzył jedno oko i, jak zwykle, zobaczył rozdziawioną w cudnym uśmiechu gębę Nadwornego Lizusa. Chciał powiedzieć, też jak zwykle rano, żeby ta gęba zniknęła raz na zawsze, najlepiej pod toporem kata, ale (też jak zwykle) udało mu się tylko zabulgotać. Niestety biedakowi szósty podbródek tak silnie ścisnął szczękę, że od 10 lat (swoich srebrnych godów, tak dla odmiany), nie mógł otworzyć ust. Od tego czasu przyczepił się do niego Lizus, który wytarcie królewskich rąk z tłuszczem o jego włosy błędnie uznał za namaszczenie. Lizus oczywiście wytłumaczył wszystkim tę wielką łaskę króla, a władca nie zaprzeczył (bo nie mógł) i tak już zostało. Oczywiście

codziennie król próbował dać wszystkim do zrozumienia co chciałby zrobić z Lizusem, ale tamten wszystko tłumaczył na oznaki królewskiej łaski. Tak było i tym razem. Król z wysiłkiem podniósł tustą łapę i puknął w nos Lizusa. Tylko puknął, gdyż gdyby chciał uderzyć, musiałby się zamachnąć, a zamachnięcie się ręką króla wymagałoby spalania chyba połowy królewskiej tuszy i dlatego Lizus był pukany to w jeden policzek to w drugi. Lizus tłumaczył to jako rozkaz do usunięcia ze stanowiska i świata kogoś, a to z lewicy (lewy policzek), a to z prawicy (prawy policzek), gdyż państwo w którym rzecz się działa było monarchią konstytucyjną, z dobrze (do niedawna) funkcjonującym parlamentem. I tak, z powodu dziwnych zniknięć posłów, trzeba było zmniejszyć dwukrotnie ilość mandatów w parlamencie. A tego pamiętnego poranka król postanowił puknąć Lizusa w nos, więc ten miał problem z interpretacją. W końcu zrozumiał, albo tak mu się wydawało, i w przerażająco szybkim tempie załatwił usunięcie marszałka sejmku. Już następnego dnia znać było efekty: parlament się rozpadł, nikt nie



chciał zostać posłem, ludzie nie chcieli głosować, bo po co, jak i tak znikną wybrańcy. Tak więc szarawo-srebrzysta eminencja dworu – Lizus – doprowadził do wprowadzenia w Państwie monarchii absolutnej. Bynajmniej nie oświeconej, bo PKP wyłączyło telefony barkom i samochody w związku z tym nie latały, więc w elektrowniach atomowych zabrakło węgla*.

Ale wróćmy teraz do naszego bohatera, do którego właściwie jeszcze nie doszliśmy, a który w międzyczasie... Właściwie był w międzyczasie, nie bardzo wiedział co z sobą zrobić i czy właściwie istniał. Doprowadziło go to do depresji i postanowił popełnić samobójstwo. Ponieważ jednak nie było go teraz, ani wcześniej, a tym bardziej później, tylko gdzieś pomiędzy, trudno było stwierdzić czy powiodło się samobójstwo, gdyż w danej CHWILI, której nie było, nie można było stwierdzić czy żyje czy nie. I w tej niepewności pozostawiamy go tu by...

Powrócić do czasu i na naszą Wyspę. A tutaj dopływa właśnie Srebrna Flota i rozpoczyna szturm. Po krótkiej walce król został zawinięty w sreberko i wywieziony z Wyspy. (W państwie, skąd pochodzi Srebrna Flota, znudziło się świstakowe źródło energii i wybudowano pierwszą elektrownię olejową na świecie. Nie wiadomo tylko co z nią zrobić. Wyruszone więc na poszukiwanie czegoś, co mogło być jej paliwem, być dostatecznie tłuste. I tak pierwszy monarcha absolutny w historii Wyspy zapewnił dostawy energii dla całego Srebrnego Państwa na najbliższe 20 lat.) Ostatni gest obronny króla spowodował, że spadła mu korona, spadając wprost na głowę Lizusa. Mam nadzieję drogi czytelniku, że nie muszę wyjaśniać jak zinterpretował to Lizus. Zresztą na co ja liczę. A więc, Lizus stwierdził, że ostatnią wolą króla było uczynienie go następcą tronu. Jak nietrudno się domyślić, następnego dnia odbyła się oficjalna koronacja: na tron Wyspy wstąpił Zepperus I.

Tymczasem w międzyczasie, gdzie czas oczywiście płynąco-stoi, nad głową żyjąco-martwego bohatera wypadła superpozycja jakiegoś czołgu. Niestety nie można było ustalić czy dowódca czołgu (odznaczony Srebrnym Orderem Srebrnej Krwi) był winien czy nie, bo jak można sprawdzić winę kogoś kto jest, ale go nie ma, poza tym nie wiadomo było i nie wiadomo nadal, czy bohater to

trup, czy nie. I teraz nie pozostaje nam nic innego jak pozostawić obydwu (dowódcę i bohatera) z ich problemami natury egzystencjonalnej i przenieść się do prawdziwego bohatera tej opowieści, czyli:

Pchły Gzęgźółki (ale Was zmyliłem z tymi bohaterami, he, he), który właśnie postanowił ugryźć psa. I, proszę państwa!, jakim cudownym wgryzem tego dokonał! Proszę zwrócić uwagę na trzeci ząb od lewej! Kunszt mistrza! A teraz znowu zmyła i okazuje się, że bohatera tej opowieści nie ma. Może...

Nasz Zepperus rządził głupio przez 20 lat, po czym do brzegów Wyspy znów przypłynęła Srebrna Flota. Od razu poszli po króla licząc na dobrze wyhodowany okaz, a tu ledwo brzuszek widać. Zezłościł się i ścięli łeb Zepperusowi, bo uznali go za zły przyrost w ich hodowli tłuszczu. Na nieszczęście dla państwa, król przeżył jeszcze dwa tygodnie, po czym zmarł z głodu, bo nie miał zębów. Większość mieszkańców załżała się ze szczęścia na stypie po Zepperusie, pijąc srebrnymi szklankami, ze srebrnego królewskiego serwisu, napój pana Łyko. Otóż pan Łyko na zapleczu swojej farbiarni wyrabiał ulubiony napój wyspiarzy. Musieli go tylko szybko pić, bo gdy Łyko (w barze Łyknij Sobie) sprzedawał swój eliksir bogów, zawsze wcześniej się ściemniało...

A w międzyczasie, jak to w międzyczasie, nic się nie działo, a przynajmniej nikt kto żyje w czasie tego nie zauważył.

Gdy ostatni z gości Łyknij Sobie zsunął się pod stół (zapewne w celu złożenia hołdu bogom podziemi, którzy musieli mieć związek z magicznym zapleczem farbiarni pana Łyko, gdyż było ono w jaskini), pan Łyko, jak co noc, poszedł do swej jaskini, aby wraz ze swymi myszami planować jak opanować świat. Od kilku miesięcy pracują nad składem Mega Eliksiru.

Nasz bohater, który właściwie nie jest bohaterem bo nic nie robi, marnuje tylko czas którego nie ma, załamany swą obecną międzyczasową sytuacją, postanowił się upić. Jednak na przedostanie się alkoholu do krwi potrzeba czasu, a nasz bohater go nie miał, więc załamał się tak, że aż nabił sobie guza na tyle głowy, uderzając o piętę. Schował więc srebrną piersiówkę w kieszeń i poszedł rozmawiać z czołgistą o bezsensie ich istnienia.

A wracając do miejsca, w którym

czas się jeszcze porusza (niemrawo, coraz wolniej, niedługo i tu zemrze znudzony swą bezsensowną egzystencją, ewentualnie sam się zabije patrząc w lustro), możemy przyjrzeć się jak pan Łyko sięga po ostatni składnik Eliksiru, skryty pomiędzy farbą srebrną metaliczną, a srebrną matową. Składnik trochę się wrywa, gdyż są to myszy współpracownicy Łyka. Farbio-karczmarz uznał, że władzę lepiej się nie dzielić, a tym bardziej nie robić (jak uczy historia) triumwiratu, więc po chwili wewnętrzności myszek wrzały wspólnie z resztą kocich i smoczyczych języków, itd. Dopiero teraz Łyko mógł przyjrzeć się swemu dziełu, w blasku świecy płonącej w srebrnym lichtarzyku. Tak! To było coś. Smakuje jak zwykły napój pana Łyka, ale działanie ma piorunujące. Poszerza horyzonty mózgu, stawia wszystko w pełnym świetle i powoduje, że życie i jego sens staje się zrozumiałe. Człowiek, który spożyje eliksir, gdy pojmie sens świata, przyjmie, że jedynym sensownym działaniem ludzkim jest zawijanie w sreberko (świstaki jako istoty wyżej rozwinięte rozumiały sens życia już wcześniej). A pan Łyko, wykupując jeszcze dziś Świstak Incorporated stał się monopolistą importu sreberka! Ludzie okrzykną go władcą, byleby dostarczał sreberka! Jeszcze tylko znaleźć sposób na to, by upić wszystkich wyspiarzy...

Międzyczas. Godzina: gdzieś pomiędzy tą, a każdą inną. Osoby: Bohater, Czołgista. Osoby dramatu: przyjdą za 5 minut, czyli nigdy. Czołgista z bohaterem prawie kończą kolorowanie czołgu w srebrne kwiatki i motylki, gdy superpozycja tegoż wypadła gdzieś w Obłoku Magellana i nasi artyści pozostają z pędzelkami zawieszonymi w powietrzu.

CZOŁGISTA: (opuszczając pędzel) Kurde! Zniknął! A ja?!

BOHATER: (coś mówi, ale my go nie słyszymy, bo to bardzo tajemniczy bohater opowiadania)

CHOCHOŁ: Mnie tu nie ma! Ubieram się w com tam mam! Będę za 5 minut, czyli nigdy!

ŚWISTAK: (zawija w sreberka) Zawijam, zawijam, zawijam,...

WAĞLIK: (machając wesolo łapkami) Zabijam, zabijam, zabijam,...

CZAS: Mnie tu nie ma! Jestem z Chochołem na kawie!

CHOCHOŁ: To pomówienie! Ja się ubieram...



AUTOR: Ja tu jestem, jeszcze!
MÓZG AUTORA: A ja nie, he he. A ja nie!

JAN: Kto mnie wzywał, czego chciał?

CHOCHOŁ: Wy****dalaj z mojej piaskownicy! To moja kwestia!

JAN: *(zalamany odrzuceniem przez społeczeństwo popełnia samobójstwo)*

TLUM: *(patrz: Rysiek, "2001")*

KAZIMIERZ TETMAJER: Lubię, kiedy świstak...

ŚWISTAK: Zabijam, zabijam, zabijam,... *(zabija K. Tetmajera, zawija go w sreberko i wysyła do Afganistanu jako rację żywnościową. Talibowie myślą, że to bomba i wybuchają)*

CZOŁGISTA: *(rozwiązując krzyżówkę)*
A dajcie wy se wszyscy siana!

MÓZG AUTORA: Ja się głównie z niego składam!

AUTOR: Wypraszam sobie *(zabija mózg i żyje krótko i nieszczęśliwie)*

CHOCHOŁ: *(patrząc przez słomkę na Czolgistę)* Ma rację. A dajcie wy se wszyscy siana!

TLUM: *(rozrywa Chochoła i daje sobie nawzajem jego szczątki)*

DUCH CHOCHOŁA: Edukacja w tym kraju kiepska, słomy od siana nie odróżniają.

EGZORCYSTA: Ave Satana Belzebu-ba! Zaraz, zaraz... nie ten psalm...

CZOŁGISTA: *(wracając z toalety)*
Jeszcze tu jesteście?! A poszli won!

BOHATER: *(znów nie słyszalny)*

AUTOR: Mój ci on! Mój!

BOHATER: *(daje w mordę Autorowi)*

AUTOR: OK! Zrozumiałem! Już idziemy.

Wróciwszy tutaj gdzie jesteśmy, pomimo uwierania dolnej wargi, jestem w stanie stwierdzić, że Czas powiedziałby tu: "Jestem tu! Ale wolałbym nie". Następnego poranka po pogrzebie króla naród stwierdził, że czas w demokratycznych wyborach wybrać nowego tyrana. Mimo ogólnego bólu głowy ludność dochodzi do wniosku, że osobą która najlepiej potrafi zaspokoić jej potrzeby i czynić szczęśliwą jest (oprócz Elziry spod 6) pan Łyko. I tak pan Łyko, bez żadnych krętaństw i eliksirów mógł zostać królem. Jednak nie został, gdyż powiesił się na sznurze srebrnych pereł** na swym zapleczu, tuż obok efektu swej dwudziestoletniej pracy i utraty dwóch przyjaciół.

CZOŁGISTA: Ponieważ Autor sobie poszedł, ja przejmuję w swoje ręce losy bohatera tego opowiadania. *(bierze w ręce losy Bohatera i idzie do siedziby Lotto odebrać nagrodę)*

LOTTO: W międzyczasie nieczynne.

CZOŁGISTA: A pies ci... *(pali losy Bohatera, Bohater zostaje skazany na wieczną tułaczkę i życie bez przyszłości, jeśli to wogóle możliwe w międzyczasie)*

BOHATER: *(jesteśmy na tyle blisko, że mogliśmy go usłyszeć, ale nic nie mówi)*

ŚWISTAK: *(robiąc to, co każdy przyzwyczajony świstak robić powinien)*
Zawijam, zawijam, zawijam, zawijam, zawijam, zabijam!

Na Wyspie panuje anarchia i przygnębienie. Anarchia bo nie ma króla, a przygnębienie gdyż nie znaleziono przepisu na eliksir pana Łyko. Łyknij Sobie upadło. Farbiarnia upadła. Gospodarka się wali. Pozostałe przy życiu grono mędrców dziwi się faktowi wessania przez dziurę w budżecie czarnej dziury. Postanawiają doprowadzić do zakończenia złego okresu królestwa (w te lub we w te). Trzeba wybrać nową dynastię rządzącą. Wszyscy mieszkańcy stolicy (uprawnieni do głosowania: mężczyźni w wieku powyżej 50 lat, z podpisaną zgodą obydwójga rodziców) mieli zebrać się na Srebrnym Dziedzińcu i uzgodnić formę wyborów. Skończyło się tym, że do władzy doszli Łełopy (bez wyborów) bo krzyczeli najgłośniej.

A w międzyczasie:

BOHATER: *(znudzony grą w szachy z Czolgistą, która trwała by wieki, gdyby nie brak czasu)* Po co mam coś mówić? I tak mnie nie usłyszycie. Przecież nawet teraz tylko czytacie.

CZOŁGISTA: *(wstaje i jak zwykle idzie do toalety, po drodze poślizgnął się na Mózgu Autora)* A fe! A to czyje? Kto nie zdążył?

AUTOR: *(wracając)* Eee, to moje, ale ja zdążyłem, bo jestem!

CZOŁGISTA: *(oburzony)* Jak mogłeś zdążyć, czyli "przyjść na czas"?! Przecież sam nas umieściłeś w międzyczasie, ty idioto! Skleroza cię napadła, co? Za dużo grzybków z tej ściany zjadłeś***, co? Ty wogóle spójrz na siebie! Ty!

Moim autorem?! Zabiłbym się gdybym mógł, gdybym nie miał siedmiu nóg.

AUTOR: Veni, vidi, morti. *(całkowicie zrezygnowany pozostawia utwór swojemu losowi i odchodzi)*

ŚWISTAK: Zawijam, zawijam, zawijam, hej!

Kilka lat rządów Łełopów doprowadziło kraj do rozkwitu, ale na poziomie epoki kamienia łupanego. Oczywiście przywódcy wytłumaczyli ludziom, jakież to cudowne zmiany zaszły w ich życiu, oraz że mieszkanie w chlewie jest zdrowsze niż w lepiance. W pewnym momencie (gdy rząd zachwalał płatki śniadaniowe "Koziebobki") ludzie jednak zauważyli, że nawet za Zepperusa było lepiej. Wezwali więc najlepszego znanego im fachowca do rozwiązania tego problemu (czyli do usunięcia z urzędu). Był to Larry Botter – wielokrotny morderca, szantażysta, dwulicowiec, sadysta itp. – zawsze usprawiedliwiany za ładny uśmiech i dokonania z dzieciństwa. Otóż był on jedynym mieszkańcem Wyspy, który kiedykolwiek wygrał walkę i zabił kogoś ze Srebrnej Floty (było to też pierwsze zabójstwo na jego koncie). Bohaterski ten niemowlak, doprowadził do śmierci złego najeźdźcy w sposób genialny w swej prostocie – zgubił pieluszkę (gdyż puściła srebrna agrafka) na drodze Srebrnego, który poślizgnął się i upadł, głową uderzając o kant stołu. I tak Larry Botter został bohaterem narodowym. A teraz właśnie naród znów go potrzebował. A teraz ja mógłbym zakończyć ten tekst i nie nudzić Was więcej, ale lajf iz brutal end ful of zasadzka, więc zaspokoję waszą ciekawość (o ile jest...).

A teraz skończę zaczynać zdania od "a teraz" i wrócę do międzyczasu. Ponieważ jestem Autorem, a ten jak pamiętacie, sobie stamtąd poszedł, więc wracam tam tylko duchem, jako niemy obserwator faktów.

BOHATER: *(ponieważ chce powiedzieć coś ważnego do Czolgisty, miejscowy bóg odkliknął na pilocie MUTE)*
Czolgisto! Czy zdajesz sobie sprawę, co los dał nam w nasze ręce?!

CZOŁGISTA: Spaliłem los.

BOHATER: *(nie zwracając na niego)*



uwagi) Los dał nam siebie! Jeśli nie ma Autora, to w naszych rękach jest formowanie tego świata. Nie ma dla nas już żadnych ograniczeń. My – treść – staliśmy się władcą formy. Mamy w ręku moc kreacji i anihilacji, zarówno materii jak i życia. Nie ograniczają nas żadne wskazania formalne tamtego, eee... "realnego" świata. Nasza myśl jest myślą świata. Czy czujesz jak ten świat – miękka, bezkształtna glina – przemyka między palcami, czekając aż go uformujesz?

CZOŁGISTA: Gównno czuję!

BOHATER: Tak! Może i masz rację! Może to i gównno! Ale to ty możesz ukształtować je w najdoskonalszą rzeźbę świata – Nowy Świat! Nie tylko zewnętrzny wygląd – by zachwycić gapiów, ty... my możemy stworzyć całe wnętrze Nowego Świata, jakim gównnem by ono nie było, bo to my jesteśmy tym wnętrzem!

CZOŁGISTA: (udając zainteresowanie, z ironią) A kto ci zajrzy do wnętrza stolca?! Przecież zauważą, nawet na najpiękniejszej figurce, że nie wzięła się z głowy.

BOHATER: Ludzie zobaczą, co będą chcieli i na to wpływu nie masz. A jeśli uważasz, że myśl zamknąć można tylko w formie politycznie, etycznie, moralnie i estetycznie poprawnej i że w przeciwnym razie ta myśl nie będzie miała pozytywnego, w każdym rozumieniu tego słowa, wpływu na twórcę i odbiorcę, to co robisz na tej kartce? Pomyśl przynajmniej co się stało! Staliśmy się wolni! Nie tylko mogą decydować o swoim życiu, ale mogą je kreować. Nie czekają na napływające zdarzenia, które wywołają zero-

jedynkowe pytanie – skrócić w lewo czy w prawo?, zjeść to czy nie?, przeżyć..., itd., ale samemu tworzyć to zdarzenie i oczekiwać od świata odpowiedzi z zakresu liczb rzeczywistych, a samemu cieszyć się władzą nad światem urojonym. Pomyśl! Wybiliśmy się ze świata urojonego człowieka, na którego życie nie mieliśmy wpływu. On chciał, kierując naszym życiem, wpłynąć na myśli innych. Teraz to my mamy życie. Dla nas Międzyczas stał się Czasem. Przestaliśmy żyć dla kartki, oceny krytyków, a zaczęliśmy jak ludzie – żyć dla siebie, by móc się dzielić się życiem grupą ludzi, których nazwać możemy przyjaciółmi, kochanymi, itp. Możemy wykreować to gównno tak, by wewnątrz doszło do tych, o których myśleć będziemy tworząc je, a zewnętrzny wygląd trafiał do ludzi. Może nawet wywołać u nich chęć zajrzenia do środka...

CZOŁGISTA: (mniej ironicznie niż wcześniej) Ale kał to kał i żadna forma ani treść tego nie zmieni.

BOHATER: Nie? Przecież ty jesteś treścią i formą, alfa i omega tego gównna. Przecież od chwili, gdy twoje neurony, w wyniku dziwnego niepowtarzalnego połączenia, stworzyły twoją świadomość, masz wybór – pozwolić się formować – wyciągając ręce w oczekiwaniu, czy formować – wyciągając ręce by złapać. Jeśli nie uwierzysz w to, to świat dla ciebie pozostanie gównnem; jak

uwierzysz – stanie się życiem. Sensem życia nie jest poszukiwanie (lub oczekiwanie) lepszego materiału – jest nam dany jeden, ale obracanie go w palcach do końca.

CZOŁGISTA: (otwiera usta by spuentować tę scenę, gdyż Zrozumiał, ale jego superpozy-

cja wypadła tym razem w Międzyczasu)

BOHATER: (pozostał sam ze Świstakiem) Zawijaj brachu dalej w to sreberko i czekaj na zmianę świata. Może jednak jestem od ciebie mądrzejszy mając Wiarę. Wiarę w Życie i Świat lub w Kogokolwiek. (robi krok na przód i opuszcza Międzyczas)

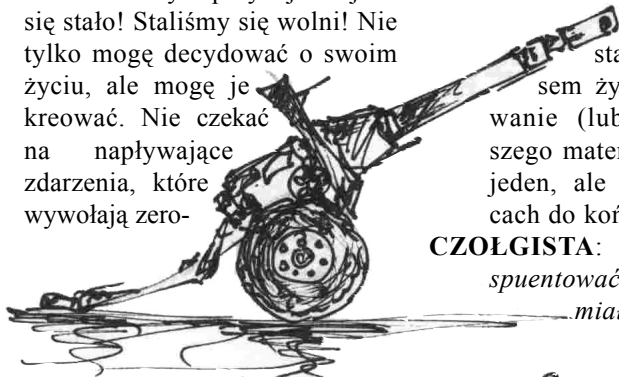
ŚWISTAK: (na chwilę jakby zwolnił zawijanie, na sreberko spadła słona kropla, a po chwili proces wrócił już do zwykłego tempa)

Bohater nasz wyszedł z Międzyczasu i stanął oko w oko z Larrym. Botter zniszczył właśnie Łełopów, czytając przez dwie godziny książki wymagające myślenia. W ten sposób stanęli naprzeciw siebie – Śmierć za Życia i Odzyskane Życie. Biedni wypiarze po dziś dzień niesieni przeróżnymi falami myśli i uczuć, przepływają od jednego do drugiego.

KONIEC

Chciałbym podziękować wszystkim, dzięki którym pod koniec wielodniowego procesu pisania tego tekstu udało mi się odzyskać, a nawet przewyższyć, nastrój jaki miałem, gdy wymyślałem początek. Tylko dzięki nim silniejsza fala popchnęła mnie w stronę samego siebie. I tylko dzięki nim omijam wszelkie fale wsteczne i pozostanę sobą przez długi czas.

Przyjaciółmi. Jestem dumny mogąc nazwać ich



Haubica

* Wbrew pozorom to nie jest takie bezsensowne. Spora część reaktora atomowego to grafit. (Ale i tak nie radzę traktować w jakimkolwiek stopniu tego tekstu jako fantastyczno-naukowego, co najwyżej fantastycznego.)

** Makuszyński nie napisał tylko "Awantury o Basię". Radzę poszperać. Hasło: "Perły i wieprze".

*** Patrz: "Splątanie".

**** Wbrew pozorom to nie jest czwarty przypis, lecz cenzura! [przyp. red.]



Fabryka intelektualistów

Paweł Lubowiecki (Pavlo)

Marcin stał przed wysokim budynkiem fabryki. Wyraźnie odróżniały się cztery kondygnacje budowli. Przed wejściem tłoczyło się mnóstwo ludzi. Wszyscy czekali na wejście. Pierwszy dzień pracy zapowiadał się na bardzo ekscytujący. Gdy był to ostatnim razem, na rozmowie wstępnej, odniósł niezwykle pozytywne wrażenie. Widział młodych ludzi, rozpromienionych możliwością kształcenia, śmiali się, byli serdeczni, dowcipni i inteligentni. Wyczuł to po krótkich rozmowach jakie z nim przeprowadzili. Teraz i on miał szansę dołączyć do tego cudownego grona. W końcu nadeszła jego kolej. Wszedł do długiego korytarza. Szare ściany niczym nie przypominały wnętrza z poprzedniej wizyty. Podszedł do recepcji znajdującej się na końcu korytarza.

– Proszę, oto wasz uniform – powiedział recepcjonista, wysoki gbur w zielonym mundurze z etykietą na piersi – Wasz numer seryjny to 55021. Zapamiętaliście? – Marcin skinął głową – Tymi drzwiami prosto. Następny.

Marcin ruszył dalej. Wszedł do małej sali, gdzie wszyscy się przebierali w uniformy, on też tak zrobił. Wrzucił swoje stare ubranie do przygotowanego kosza i przeszedł do następnej sali. Fryzjer? – zdziwił się, ale o nic nie pytając usiadł na wolnym siedzeniu. Od razu podszedł do niego człowiek w mundurze i bez zapowiedzi zgolił mu włosy. Chłopak z żalem patrzył, jak fryzjer obcina jego długo zapuszczaną fryzurę. Nie miał pojęcia, o co właściwie tu chodzi: uniformy, numery, a teraz to? Tego nie było w umowie. Po goleniu wszedł do wielkiej sali. Zajął miejsce ze swoim numerem i czekał. W pomieszczeniu byli inni podobni do Marcina. Po chwili pojawił się mężczyzna w białym fartuchu. Jakiś doktor.

– Witajcie. Jestem tu oddelegowany aby poinstruować was o programie pracy w naszej fabryce. Musicie przejść przez cztery poziomy. Pierwszy to odzwyczajenie was od starych złych nawyków, drugi nauczenie was poprawnego myślenia, trzeci wpojenie wam pewnej niezbędnej wiedzy, no

i czwarty – umocnienie i zatwierdzenie waszej wiedzy testami. Pytania?

– Gdzie są ci ludzie, których widziałem w czasie spotkania kwalifikującego? – zapytał ktoś z tyłu.

– Dział reklamowy znajduje się z drugiej strony trzeciej kondygnacji. Jeśli nie ma więcej pytań zapraszam do sal pracy. – zakończył doktor, po czym wyszedł. Wszyscy rozeszli się po różnych pomieszczeniach. Marcin też poszedł. Rok pracy się zaczął...

To był naprawdę ciężki czas. Marcin harował jak wół. Nie miał czasu na nic innego poza fabryką. Na przerwach posiłkowych spotykał ludzi z wyższych poziomów. Wyglądali okropnie. Wszyscy mieli płaskie czoła, pewnie od umacniania wiedzy płaskimi deskami, którymi wszyscy zakuwali się wieczorami. Ich niegdyś jasne oblicza miały teraz szary kolor. Oczy właściwie niewidoczne zaszyły cieniem i patrzyły z jakiejś wielkiej oddali. Nic nigdy nie mówili, bo ich wargi jakby zszycie, zrosły się zamykając im usta. Porozumiewali się za pomocą krótkich mruknięć. Nie przyjmowali też praktycznie żadnych niepotrzebnych informacji, gdyż ich uszy skurczyły się i nastawione były na głosy ludzi w białych fartuchach, doktorów. Marcin z początku bał się tych manekinów, jak ich nazywał. Nie chciał być jak oni. Dawny mit o fabryce zniknął gdzieś bezpowrotnie. Starsi koledzy, głusi, ślepi i niemi na resztę świata, o sztywnych ramach myślenia narzuconych im przez doktorów, budzili w Marcinie odrazę. Nie chciał być właśnie takim manekinem o małym mózgu, rośliną, która umie pobierać wiedzę z tylko jednych korzeni. Marcin zamykał swe myśli i nie dawał doktorom zrobić sobie prania mózgu. Codziennie patrzył w lustro i obserwował swoją twarz, czy nie pojawiają się pierwsze ślady cienia na niej. Dobrze mu szło, cały czas miał jasne spojrzenie i zachowywał zdrowy rozsądek. Jego znajomi, którzy z nim weszli pierwszego dnia do fabryki, dawno już upadli i zaczęli ciemnieć. Doktorzy szybko spostrzegli, że Marcin stawia opór i często karcili go za to.

Qchnia fizyka cz. 1

Magda Rogowska

Ze z fizykami nie wszystko jest zawsze tak jak należy – większość ludzi zdaje sobie sprawę. Nie wszyscy jednak wiedzą, że nawet tak prozaiczna sprawa jak jedzenie może powodować u fizyka (tutaj szczególnie podatni są teoretycy) reakcje, delikatnie mówiąc, dziwne. Otóż (dla niewtajemniczonych) wiele teorii wzięło swój początek właśnie przy obiedzie. Przy czym szczególną popularnością cieszyły się desery (tu pragnę zauważyć pewien ludzki odruch u fizyka – "normalny" człowiek też woli desery). Przykładów można znaleźć wiele:

Zapewne część z was słyszała kiedyś o doktorze Galvanim, który miał dosyć spory wkład w rozwój nauki. Otóż zyskał on w rodzimych Włoszech sławę nie tylko jako naukowiec, ale i jako specjalista od przygotowywania bardzo... jakby rzecz... porażających potraw z żabich udek. A wszystko zaczęło się od tego, że dr Galvani dowodził jakim to jest troskliwym mężem i gotował pyszny żabi rosółek dla ukochanej acz chorej żony. W sumie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie robił tego w swojej pracowni lecz w kuchni. Jednak można powiedzieć, że właściwie tylko dzięki tej jakże uroczej niewiedzy o tym gdzie należy gotować, Galvani trafił do pantheonu wielkich fizyków. A wszystko działo się tak: doktorek właśnie z umiejętnością godną chirurga obdzierał ze skóry umięśnione (ten epitet jest tu znaczący) żabie udko, kiedy jednocześnie jego asystent włączył maszynę elektrostatyczną i (obrazowo ujmując) strzelał piorunami (czytaj: wytwarzał długie iskry elektryczne). Wszyscy obecni w pracowni panowie chórem wykrzyknęli, że żabie udka żyją i wiadome już było, że nauka zamiast obiadu zyskała nowe fascynujące zjawisko do wyjaśnienia. Niestety źródła nie podają co na to pani Galvani...

To tyle co do gotowania, a jeśli chodzi o jedzenie:

Cóż... wyobraźmy sobie (tym razem bez zbędnych szczegółów)... podwieczorek. Ot tak, pewien fizyk trafił do swojej (albo cudzej) babci na podwie-



– Numerze 55021 długo będziecie jeszcze robić z nas idiotów? Za karę chłosta i trzy tygodnie karczeru – brzmiał wyrok.

Dwóch mundurowych wyprowadziło chłopca. Zamknęli go w izolatorze gdzie podłączono go specjalnej aparatury i poddano jego mózg szczegółowym doświadczeniom. Chłopaka niezwykle to męczyło. Tracił ciągle przytomność, a z nosa co chwila ciekła mu krew. Gdy z nim skończyli, jakiś wielki mundurowy wychłostał go i wrzucił do ciemnej piwnicy. Było tu zimno i wilgotno. Na dodatek w karczerze było mnóstwo szczurów, które, gdy tylko Marcin zasnął, obgryzały mu skórę. Rzadko dostawał coś do jedzenia, a gdy już dostał to tylko jakieś resztki. Po trzech tygodniach wrócił do zajęć. Nie miał sił by cokolwiek robić. Chudy i wynędzniały wsłuchiwał się w słowa doktorów.

Nawet nie rozumiał co do niego mówią. Na przerwach patrzył po twarzach swoich znajomych. Cień na ich obliczach był już niezwykle gęsty. Ich usta, w prawdzie jeszcze nie zrośnięte wydobywały z siebie tylko mruknięcia. Mówił coś do nich, ale nie reagowali na jego głos. Został sam. Po zajęciach padł na swoje łóżko, nie był wstanie nic zrobić. Chciało mu się spać. Resztkami świadomości sięgnął po lusterko do szafy. Na swojej wynędzniałej i poszarzałej twarzy zobaczył wyraźny zarys cienia...

P.S. Witam wszystkich pierwszoklasistów w naszej szkole. Mam nadzieję, że szybko się zadomowię w murach Hoffmanowej. Życzę im, jak również ich rodzicom i nauczycielom, aby wyrosli na prawdziwych intelektualistów.

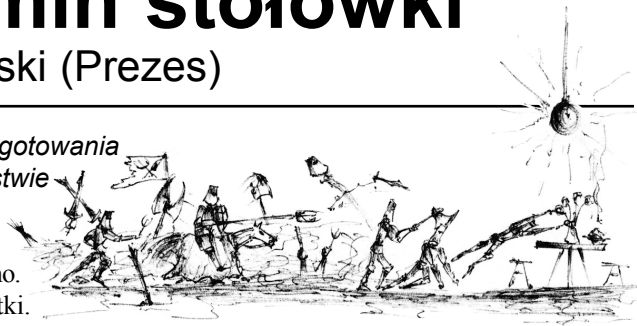
czorek, czyli przysłowiową herbatkę i ciasteczka. Co jest tym razem istotne: ciasteczka te były z rodzynkami i koniecznie były na tyle dobre, że rzeźczony fizyk był nimi urzeczony. Jak wiadomo, fizycy to naród zawzięty i jak coś się im spodoba to już przysłowiowy "koniec". I tak po owym podwieczorku wrócił nasz bohater do domu i postanowił, że sam stworzy dzieło tak doskonałe jak ciasteczka babuni z rodzynkami (podkreślam – z rodzynkami). Pomijając problem skąd wytrzasnął przepis i inne niezbędne rzeczy – zabrał się do roboty i ugniatał to swoje ciasto i dodał rodzynki i był bardzo ciekaw czy się udało i spróbował... Efekt tego był taki, że zakrzuszył się rodzynką i wymyślił nową teorię budowy atomu. Pewnie myślicie, że to trochę głupio: dostać kaszlu i wymyślić jakąś tam teorię? – ja też mam pewne wątpliwości, ale wiem jedno: fizyk nie robi bez powodu, więc jak już wziął się za pieczenie ciasteczek to musiało mu być to do czegoś potrzebne. Tak między nami, to akurat te ciasteczka nie wyszły mu na dobre bo dzisiaj mamy o atomach trochę inne pojęcie. I rzadko kto (a ja mam prywatnie nadzieję, że już nikt) uważa, że atom to "ciasto" z materii dodatniej z poutykanymi w nim ujemnymi "rodzynkami"... Jakby się zastanowić, to chyba raczej trochę głupio by było (ale o tym to może na fizyce...).

Dobra – wiem że Was meczę tą całą fizyką, ale to wyłącznie (orkiestra – tusz!) ku chwale nauki, a poza tym może zwiększy to czyjaś tolerancję wobec ludzi "myślących inaczej"... Będę się streszczać, jeszcze tylko jedna bardzo istotna teoria – o plazmie. Wprawdzie historycznie nie nadano jej nazwy związanej z jedzeniem, ale pozwoliłam sobie na małe nadużycie językowe, które szczególnie powinien polubić pewien nauczyciel fizyki. Do rzeczy: plazma to pewien specyficzny "stan skupienia materii", przez niektórych porównywany do ognia – jednego z czterech żywiołów tworzących Wszechświat. Bardziej po lapońsku oznacza to zjonizowany gaz powstały w skrajnie wysokiej temperaturze, zawierający przybliżeniu równe ilości ładunków dodatnich i ujemnych. Całkiem niedawno poszerzono mi tą definicję o tzw. plazmę gluonowo-kwarkową, którą pewien wybitny,

Regulamin stołówki

Marcin Żebrowski (Prezes)

Szkolny program przygotowania do życia w społeczeństwie socjalistycznym



1. Wszyscy jedzą to samo.
2. Żywność jest na kartki.
3. Aby otrzymać jedzenie, trzeba stać w kolejce.
4. Wszyscy są równi, więc dostają po równo.
5. Punkty 3 i 4 nie dotyczą osób uprzywilejowanych. Tylko na ich stoliku mogą stać przyprawy.
6. Wszyscy jedzą razem, budując poczucie równości i braterskości. Każdy wie, co je sąsiad.
7. Sztućce są aluminiowe w obawie przed dywersją (kradzieżą) przez elementy reakcji.
8. Stołówka jest dla nas sprawdzianem praktycznych życiowych umiejętności.
9. Codziennie jest jedno smaczne danie (do wyboru). Wybieramy je z menu.
10. Jedzenie jest zawsze smaczne i przyrządzone w sposób higieniczny. Jest go dużo. Kolejki są krótkie, posiłki wydawane szybko, a krzesel zawsze starcza dla wszystkich.

Uwagi i uzupełnienia do regulaminu:

- pkt. 6 – Usunięto wyraz "solidarność" zastępując go słowem "braterstwo".
- pkt. 7 – Dawniej sztućce były "przyzwoite", ale były kradzione przez agentów kontrrewolucji.
- pkt. 8 – "Życiowe umiejętności" to np. "pożyczenie" sobie czyjś krzesła, zatrudnienie kolejkowego "stacza", lub po prostu wepchnięcie się do kolejki.
- pkt. 9 – Z menu na każdym stoliku zrezygnowano z powodów takich, jak w punkcie 7. Ponadto zaleca się nie używania w jadłospisie słowa "hamburger", jako wysoce niewłaściwego. Banany i inne owoce tropikalne są sprowadzane ze Związku Radzieckiego.
- pkt. 10 – Punkt 10 jest prawdziwy.

Ciasto

Zuzia Pacholczyk



Robił ciasto. Dodawał po kolei wszystkie składniki. W całym domu pachniało zapowiedzią wieczoru przy kominku i słodczy z mieszanej z lekką goryczą herbaty. Formował ciasto – jego twór, od początku do końca. Nie miało nikogo innego, było całkowicie zdane na łaskę i niełaskę swojego twórcy. Całą ufność pokładało w tym, którego długie palce delikatnie mieszały masę i z wycuciem dodawały po trochu różnych rzeczy. Nieopodal grzał się piekarnik – zapowiedź nieba, zapowiedź spełnienia. W dużej misce powoli powstawało piękno. Gładka masa pachnąca kakaem, mąką, cukrem. Ufnie spała pod okiem tego, który był bogiem dla ciasta w jego półsferycznym świecie. Śniła o spełnieniu i szczęściu, o tej chwili, w której ciszy i spokoju wszyscy siedzą wpatrzeni w ogień; kiedy spory odkłada się na później po to, by rozkoszować się delikatną słodczą ciasta, a wzajemna akceptacja unosi się delikatną mgiełką w powietrzu. Piekarnik się już nagrzał, do nieba było tak blisko...

Obudziło się. Trwało w niemym oczekiwaniu pełnym radości i ekscytacji.

Gwałtownie wbił ręce w ciasto. Rozgrzebał je aż do środka, do samego wnętrza. Z rękami oblepionymi ciemną masą wbijał paznokcie w coraz to nowe miejsca, aż miska była umazana masą, aż poranił sobie palce do krwi, aż jego ręce zniknęły pod warstwą ciasta. I krzyczał, tam w środku krzyczał. Potem uniósł miskę i cisnął nią o ziemię, później deptał, aż ze świata zostały tylko okruchy, aż z jego poranionych

odłamkami stóp lała się krew, aż drobinki ciasta leżały martwo na zimnej podłodze.

Stał pośrodku tego ogromu zniszczenia, zły na tę ufną masę, dla której był jedynym bogiem. Jej spokojna obecność w domu była nie do wytrzymania. Wiedział, że to ciasto mogło tam stać, całe życie będąc gdzieś na skraju jego świadomości, cały czas patrzeć ufnie, ze spokojem, z jakimś śladem zrozumienia w oczach. O tak, ono miało oczy, setki oczu; w niektórych widział smutek, w innych radość, nawet teraz, nawet na zimnej podłodze. Poczucie obecności jakiejś innej, niezrozumiałej istoty, którą sam stworzył, było straszne. Musiał to zrobić, musiał zniszczyć, inaczej wszędzie by go ściagały te spokojne oczy z blaskiem oczekiwania. Nie zniósłby powrotów do domu, do tej cichej masy patrzącej ze swojego kąta. Musiał ją zniszczyć aż do środka, do samego sedna istnienia, musiał się upewnić, że w każdej drobinie jest już tylko zimna śmierć.

Jak to? Jak to? Czy to jest w ogóle możliwe? Ale dlaczego? Stworzyłeś mnie, aby zniszczyć? Dlaczego? Zimno, boże, jak zimno, jak strasznie... Gdzie ja jestem, co się dzieje, czemu tak boli? Czemu zniknął świat, czemu jest tak jasno, boże, już nic nie widzę, co się stało? Czy jeszcze w ogóle istnieje? Umieram! Odchodzę... Nie było szczęścia, nie było spełnienia... Boże, ratuj mnie!

Twoja nienawiść dusi z trudem złapany oddech.

mądry i uczony fizyk określił mianem kisielu gluonowo-kwarkowego. Tak właściwie, to było to bodajże na zeszlórocznym Festiwalu Nauki i to właśnie wtedy doszłam do wniosku, że fizycy lubią wszystko (to może za dużo powiedziane...) sprowadzać do jedzenia. Ale siłą rzeczy – cóż im pozostaje? Bądźmy szczerzy – ludzie z reguły nie widują na co dzień plazmy, ale właśnie kisiel.

Mała refleksja na koniec: może popularyzacja nauki powinna sprowadzać się właśnie do tłumaczenia zjawisk poprzez to, co widzimy na co dzień? Bo mnie się czasem wydaje, że niektórzy Ważni i Uczeni Panowie Naukowcy są zbyt zajęci wymyślaniem dużej ilości nic nie znaczących terminów zamiast poświęcić chwilę temu, żeby jak najwięcej ludzi mogło po prostu niektóre rzeczy zrozumieć.

Balszaje spasiba za cierpliwość.

Qchnia fizyka 2

Magda Rogowska

Tym razem będzie krótko (hurrra!), treściwie (buuuu!) i o kilku sprawach (lotewer). Zacznijmy może od tego, że po ostatniej dawce teorii należałoby przejść do rękoczynu i w końcu ugotować coś samemu.

Przepis na džondro atomowe:

I. Dla amatorów:

1455687434⁰) Potrzebne będą: protony i neutrony w ilości dowolnej.

log₂4) Wykonanie: zbieramy wszystko do kupy i czekamy co się stanie.

3!/2!) Jeżeli jesteś farcjarzem, to swoje džondro ma szansę nie rozpaść się, zanim zdążyysz je obejrzeć.

II. Dla – powiedzmy – specjalistów:

i⁴) Zadanie na początek: wysepić od przyrody pewną ilość układów kwarków {uud} i {udd}.

$\sqrt[3]{8}$) Skonfrontować zebraną liczbę protonów i neutronów z tzw. tablicą nuklidów i sprawdzić, jakie ich ilości dają razem džondro leżące na ścieżce stabilności (cokolwiek to oznacza... (ale przecież to przepis dla specjalistów...)).

x; x²=9 i x>0) Wybrać dowolny zestaw protonów i neutronów ze ścieżki i zebrać do kupy.

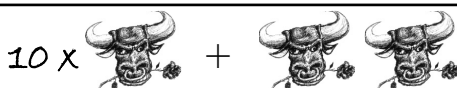
Znad pomarańczy

Rysiek Kostecki (Rysieq)

Analityczność

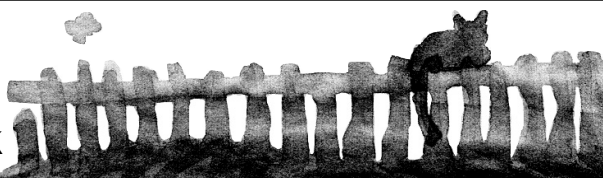
Leżała przed nim bogata, pełna życia, lecz zarazem bezbronna. On sięgnął po słowa. Błysk w oku – i pierwsze nacięcie. Przeciął ją na wpół. I ujrzał jej wnętrze. I już nie było całości. Ale on chciał wiedzieć. Więc przeciął ją znów. I jeszcze! I jeszcze! Nagle zatrzymał się i spojrzał na swe dzieło. I przeraził się. Już jej nie było. W miejscu pięknej postaci znajdowała się poszatkowana bezkształtna masa...

Został sam ze swoimi słowami.



Antonio

Zuzia Pacholczyk

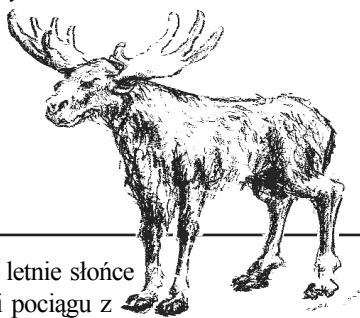


Antonio siedział nad półprzezroczystą szklanką herbaty. Pływające w niej bądź to żabką, bądź to cawlem idee nie przyglądały mu się ani z zainteresowaniem, ani z zawiścią. Po prostu beczelnie go ignorowały, co zmusiło Antonia do pociągnięcia jeszcze jednego łyka. Ołówek przeciągnął się, rozgrzany ciepłym płynem, którego atomy pozostawały niedookreślone zgodnie z regułą nieoznaczoności Heisenberga. Z cichym westchnieniem kolejna niebieska kartka poddała się szaleńczym działaniom Antonia. Ów skrobał coś na niej tyleż gorączkowo, co lekko, zostawiając wijącą się linię nitki, przedzionej cicho i wdzięcznie. Promienie wpadające przez zmatowiałe w oczekiwaniu szyby pelzły po kolejnej niebieskiej kartce, zapełnianej dokładnie słowami, które biegły, goniły, dalej, dalej... Litery sunęły w powolnym, pełnym gracji tańcu, tworząc swój własny poemat ukryty za zdaniem dla tych wszystkich, którzy nie znali Antonia dość dobrze. Ale tych kilka osób, którym dane było słuchać czasami opowieści z poddasza – o, do nich *tekst, który wykracza poza egzystencję grafitu na papierze*, uśmiecha się na wpół przyjaźnie, wpół tajemniczo, zachęcając do odczytania go jeszcze raz, do ujrzenia raczej słońca na stole, herbaty i kota na poddaszu. Kot zresztą przypalał się tylko na chwilę i do tej pory nie mógł pojąć, że Erwin nie mieszka w Paryżu.

Łoś

Rysiek Kostecki

Po południe. Godzina szczytu. Jest duszno, gdyż letnie słońce zaczęło już prażyć. Do wypełnionego po brzegi pociągu z Warszawy do Wołomina wchodzi stara babcia z zabłoconym i odrapanym rowerem. Konsternacja. Rower zajmuje dużo miejsca, którego i tak w przedziale brakuje. W dodatku babcia utknęła w przejściu pomiędzy przedziałami i wystawiła swą głowę za okno. Pasażerowie z niechęcią spoglądają to na babcie, to na rower. Jakiś maluch z głupawym uśmiechem na ustach odkręcił wentyl z koła i z radością patrzy na uciekające z sykiem powietrze. W drugim końcu przedziału robotnicy w pochłapanych farbą ubraniach grają w karty. Zewsząd słychać urywki rozmów. Na twarzach ludzi maluje się wyraźne niezadowolenie. Babcia zupełnie niechcący zahacza o sukienkę jakiejś pani w modnym stroju. Tamta natychmiast podnosi lament. Z innego przedziału słychać krzyk małego dziecka. Za oknem łośie. Pociąg hamuje. Wszyscy wychodzą na rykowisko. Babcia wsiada na rower i przez okno wyjeżdża z pociągu. Panowie w roboczych spodniach przestają grać w karty i odfruwają, zostawiając niedopity sok marchewkowo-bananowy. Łośie wsiadają do przedziału. Jeden z nich wchodzi z rowerem...



Rozumiał za to doskonale, że herbata parzona przez jakąś inną, że słońce niżej nad horyzontem, że grający na gitarze Lorca - - -

Wtedy te same słowa byłyby czymś zupełnie innym, poemat drugiej pochodnej gdzie indziej spotykałby się z osią OX i już nie Paryż, ale może Andaluzyja grałaby tam główną rolę. Nieświadomy tego Antonio rzucał w wyszukane formy swoimi myślami, burząc, a potem budując z gruzów na nowo – i choć pozornie nie miało to sensu, kot położył się na zielonym kocu, śledząc spod półprzymkniętych powiek ruch ołówka.

Chwila ciszy potrzebnej na powtórne odczytanie tego, co zdawało się nieruchomo tkwić przed oczami, i oto Antonio zaczyna kreślić, a potem nagle osamotnione litery sunące jęklonie w resztkach tańca wydają mu się niewłaściwymi, wymazuje je więc z błękitu i z pamięci. Czyta zaniepokojonemu kotu to, co jeszcze kurczowo trzyma się papieru, co woła o łaskę. Ale nie ma przebaczenia, ołówek zmuszony do posłuszeństwa i oddane Lorca jego własne słowa.

Najeżone drewno biurka z niepokojem wpatruje się w ostatnie wyrazy, w poemat okrojony z kształtu, smutno oddający się promieniom zachodzącego słońca.

Nie pamiętaj kolców temu, kto daje ci kwiat róży.

Gratulacje! Uzyskałeś stabilne dzondro, zrób takich więcej i porozmawiaj z chemikiem, jakie zestawy obiadowe możesz z nich wykonać.

Dobra, to tyle o dzondrach. W sumie jest to przydatne jak ktoś ma zamiar zostać stwórcą świata, ale nie próbujcie tego w kuchni (!). A na koniec kilka ogłoszeń:

Q Spółka "Qchnia Fizyka" z.o.o. poszukuje współnika z quazi-dużą ilością kapitału inwestycyjnego do otworzenia nie przynoszącego zysków lokalu bardzo quazi-gastro-nomicznego.

Q Dam pracę:

– Fizyka dobrze znającego ruch po elipsoidzie w 3 wymiarach do obie-rania kartofli.

– Fizyka teoretyka, jako szefa administracji i trzymającego kasę w tym całym interesie (dla fizyka teoretyka nawet niemożliwe jest możliwe).

– Matematyka – planisty przestrzeni do ułożenia posadzki w Qchni.

– Gościa, który zunifikuje wszystko co się da i zaoszczędzi nam zbędnego rozdrabniania się.

Q Wynajmę lokal, najchętniej w pobliżu elektrowni jądrowej i jakiegoś przyspieszacza (mile widziany przyzwoity akcelerator).

No to tyle. Pamiętajcie, żeby odżywiać się zdrowo, bo nadmiar (s)kwarków prowadzi do przedwczesnej sklerozy...

Qchnia fizyka 3

Magda Rogowska

7 lat w Tybecie i proszę, jaki bałagan! Nagle okazuje się, że świat ma 11 wymiarów i w ogóle mamy tutaj wielką kaszę... Szczerze powiedziawszy, to można było to wszystko przewidzieć: znane jest przecież powszechnie powiedzenie, że "lenistwo matką wynalazku" (czy jakoś tak). Zgodnie z tym fizycy mieli zbyt dużo zajęć z opisywaniem wszystkiego z osobna i postanowili zająć się "wielką-unifikacją-wszystkiego-co-się-da-i-nie-da". Wynikiem tego była (a właściwie ciągle jest) najbardziej urocza ze wszystkich teorii w fizyce: teoria strun (ostatnio znana jako pod-teoria M-teorii). Niejaki pan Wittman (podobno guru teorii strun) musi być

Zjawisko fotoelektryczne zewnętrzne*

Zuzia Pacholczyk

...I wszędzie dookoła jony dodatnie: Nie odczuwasz, żebyś był przyciągany – wszystko jest tak samo interesujące, każda uliczka wabi kolorowymi fasadami, możesz iść w dowolnym kierunku. Jesteś wolny. Nikt cię do niczego nie zmusza, nawet twoje własne uczucia są tak samo obojętne w stosunku do wszystkiego. Jesteś wolny.

Aż któregoś dnia dojdiesz za daleko. Zobaczysz nad sobą inne niebo, bardziej niebieskie. I zrozumiesz, że dotąd żyłeś w klatce, całe życie wierzyłeś w wolność, a to tylko twoje labirynty dawały ci wybór; nigdy nie wyszedłeś poza nie, poza swój świat. I teraz widzisz niebo.

Wybiegasz na łąkę. Biegniesz przed siebie, opętańczo biegniesz przed siebie, byle dalej od przeklętej klatki, lecz po chwili twój bieg staje się radosny, biegniesz po trawie, biegniesz w kierunku nieba; uciekasz do, a nie od.

Widzisz przed sobą miasto. Dostrzeżesz znajome kształty, znane uliczki.

Kalafior

Olek Koziarski & Bartek Kołodziejek

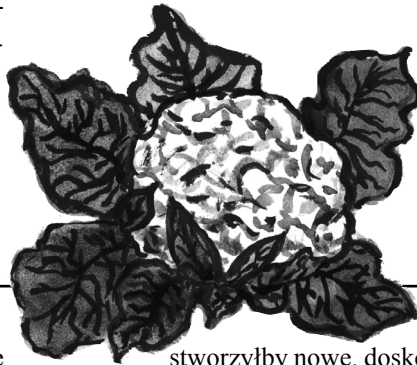
Przeciętny pożeracz fraktali! Czy w tej chwili zły gdy się odżywasz, nie dostrzegasz zła, które wyrządzają tacy jak Ty przyszłym pokoleniom? Miliony maleńkich, niewinnych i bezbronnych istotek odchodzą w ciszy przerywanej tylko Twoim głośnym miarowym młaskaniem, tylko po to, byś Ty mógł zaspokoić swój wiecznie nienasycony głód. Nie myślisz o przyszłych pokoleniach fraktalnych warzyw, które rozwijając się na równych sterylnych grządkach, pod sztucznym słońcem, w dzień czy w nocy, nigdy nie zaznają rodzicielskiej miłości. Człowieku, czymże Ty się różnisz od najgorszego skazańca – mordercy, mordercy niewiniątek!? Kwiat boskiego gatunku

Przerażony chcesz się zatrzymać, ale nie potrafisz, biegniesz za szybko i z rozpędu wpadasz do miasta. Jeszcze chcesz się wyrwać, jeszcze wierzysz w lepszy świat, więc zawracasz, ale znowu niepojętym sposobem zataczasz łuk, znowu znajdujesz się w mieście.

Patrzysz na znajome uliczki, ciągną cię wszystkie jednakowo, niczego nie musisz robić, możesz pójść, gdzie chcesz – jesteś wolny. Idziesz swoją drogą przez miasto i obiecujesz sobie nigdy więcej nie patrzeć w górę.

I czekać na foton.

* Metal, jak wiemy, zbudowany jest tak, że jądra atomowe tworzą sieć w której swobodnie poruszają się elektrony. Zjawisko fotoelektryczne zewnętrzne polega na wybijaniu takich elektronów przez fotony.



stworzyłyby nowe, doskonalsze osobniki, które miałyby szansę ewoluować w doskonalsze fraktalne bryły. Niestety, Ty sprzeciwiasz się prawom przyrody i sam chciałbyś kierować ewolucją tworząc w laboratoriach dowolne fraktalne twory, których nie przewidział naturalny rozwój gatunku. Wciel się w rolę fraktalnej jarzyny pozbawianej intymności, ogołoconej z tego, co dla niej najważniejsze, nie posiadającej już ani jednej cząstki naturalnego białka. Nie potrafisz, nie wiesz co to empatia i przelżykasz następne łyżki kalafiorowej.

Muszę już kończyć, bo mama woła mnie na obiad. Dziś znowu KALAFIOR...

chyba wielkim wielbicielem włoskiego papu i naleśników. Zresztą nie tylko on – całe rzesze fizyków teoretyków również. Ale czy można ich winić za to, że nagle możemy związać wymiary czasoprzestrzenne (w końcu 11 to, jakby nie liczyć, trochę za dużo jak na co dzień), a i struny już nie wystarczają – teraz pora na membrany i w dodatku drgające (!). Moja ulubiona część tej teorii to ta mówiąca jak to czasoprzestrzeń (niczym ser szwajcarski) z pewną ilością dziur może zmienić się w inną z różną liczbą czarnych dziur. Ja to bym nazwała "urocze". I tak to wygląda. Zresztą sami możecie ocenić rozmiar tragedii na dzień dzisiejszy:

- 1` Ze strun zrobiły się pętelki, membrany, brany, skwarki i różne inne produkty mączno-tłuszczowe: pozostaje tylko czekać na ciepłe kluchoy rewolucjonizujące światową fizykę;
- 2` Wszystko sprowadza się do poszukiwania rodzyнки w cieście, czyli cząstki grawitonu niosącej oddziaływanie grawitacyjne (życzę szczęścia);
- 3` Poza tym pozostaje jeszcze problem sera, a właściwie dziur (w dodatku czarnych), które sprawiają fizykom problemy koncepcyjne (podważają podstawy mechaniki kwantowej);
- 4` Na koniec dodam przez kogo to całe zamieszanie – winni mogą poczuć się panowie naukowcy od mechaniki kwantowej i poczciwy Einstein (to ten od ogólnej teorii względności...), którzy nie uzgodnili swoich zeznań (są trochę sprzeczne) i mamy teraz bałagan.

Ale przecież nie może być bardzo źle (no dobra, może). Nie należy się tym po prostu przejmować. Lepiej iść do qehni na małe co-nie-co.

Dziś przepis na przystawkę "zasada zachowania pędu":

1. Bierzemy układ.
2. Mierzmy początkowy pęd układu.
3. Zapisujemy ten pęd w postaci wektorowej.
4. Zamykamy oczka na chwilę dowolną (zalecane $t < 10$ minut, bo potem można zasnąć).
5. Otwieramy oczka i mierzmy pęd w układzie.
6. Zapisujemy go również w postaci wektorowej na tej samej kartce papieru co pęd początkowy (jeżeli śro-



Pamiętnik nieznanego naukowca

odnaleziony w kapsule poruszającej się z prędkością 4 Warp w kierunku galaktyki M16

Konrad Grochowski

(Fragmenty które udało się odzyskać – nie zachowała się żadna data)

Dzień (...uszkodzenie) A.D. 2001

Dziś rozpocząłem Wielki Eksperyment z Substancjami Radioaktywnymi. Zmierzyłem czas półrozpadu z dokładnością do 10^{-30} .

Zapamiętać: Wydzielić odrębny pokój na substancje radioaktywne – z dala od sekcji biologicznej.

Dzień (następny)

Kiedy relaksowałem się układaniem największej krzyżówki w stronebalomitaryńskim, do pokoju wlała się 5 kg ameba. Widok ten nie zrobił na mnie żadnego wrażenia i przymusowo przespałem się kilka godzin.

Zapamiętać: j.w.

Dzień (jeszcze następniejszy)

Badam amebę. Po dzisiejszej lekcji psychologii uśmiechnęła się do mnie.

Zapamiętać: Ameba najlepszym przyjacielem człowieka.

Dzień (któryś tam)

Dostałem dziś Pokojową Nagrodę Nobla za doprowadzenie do pokoju na Bliskim Wschodzie tylko przy użyciu 1 bomby. Wygrałem przetarg z Amerykanami – oni proponowali 5 termojądrowek. Co z tego, że moja była 15x silniejsza niż ich jedna?

Zapamiętać: Nie liczy się ilość ale jakość.

Dzień (co z tego który to?)

Mam już cały komplet Nobla. Nie wiem co robić: zdobywać drugą serię, czy czekać aż ludzie coś wymyślą?

Zapamiętać: Nuda jest nieprzyjemna – zbadać to dokładnie.

Dzień po dniu wczorajszym

Z nudów odlepiam leptony od ścian i chodzę do mojego psychoterapeuty – ameby.

Zapamiętać: Potrzebny mi psychiatra.

Dzień (nie chce mi się już wymyślać jakiegoś określenia)

Eureka! Sam wymyślę nagrodę i będę ją sobie przyznawał za nowe odkrycia.

Zapamiętać: Niech żyje egocentryzm!

Dzień 1 od odkrycia sposobu na nuda

Aby mieć forszę na własną nagrodę zająłem się astrologią i badaniem łatwości ludzi. Stawiam horoskopy wielkim firmom.

Zapamiętać: Forsa najlepszym przyjacielem człowieka.

Dzień (na pewno nie noc)

Przestałem stawiać horoskopy. Jakiś biznesmen wyklął mnie za użycie nieprawdziwego czynnika w jego horoskopie. Zamiast powiedzieć mu ile razy ma się modlić do energii wszechświata to ja: (cytat) "Używa Pan nie istniejących zjawisk, np. w punkcie 3: «Wpływ mikrofalowego promieniowania tła na tegoroczne finanse». Przecież wszyscy wiedzą, że tło nie promieniuje."

Zapamiętać: Pomodlić się do energii wszechświata o forszę.

Dzień (jeszcze jeden tego nudnego życia)

Nie mam forsy. Siedzę załamany. Dalej odlepiam leptony.

Zapamiętać: Eeee.....

Dzień (ale ten czas leci (trzeba coś z tym zrobić))

Wśród leptonów trafiłem na grawitona. Życie powoli odzyskuje sens. Zaczynam eksperymenty z grawitonem.

Zapamiętać: Grawitacja fajna rzecz.

Dzień Kolejny

Siedzę na suficie. Przesadziłem z tymi grawitonami.

Zapamiętać: Grawitacja, ale już nie taka fajna.

Kolejny dzień na suficie

Robię się głodny. Nie mogę doskoczyć do podłogi. To już chyba koniec. Jedyne co mi pozostaje to wystrzelić ten pamiętnik z podręcznej wyrzutni. Boję się tylko, że może osiągnąć prędkość ucieczki z powodu zakłóceń grawitacyjnych w okolicy i odlecieć gdzieś w przestrzeń. A więc: Żegnaj Świecie!

Zapamiętać: Always look on the bright side of life!

* * *

Dwa kilometry za kapsułą z pamiętnikiem leciała kolejna z karteczką:

"Pamiętnik nieaktualny. Uratowałem się (po prostu podciągnąłem się do podłogi po jednej ze strun wystających z książki «Teoria Wielkich Strun»). Wszystko przestawiłem już z powrotem. Czytelnikom mojego pamiętnika dziękuję z uwagą! Do zobaczenia."

Zapamiętać: Carpe struna."

dek ciężkości znaku graficznego oznaczającego pęd początkowy ustalimy jako środek prostokątnego układu współrzędnych, którego osie są równoległe do krawędzi kartki, to środek ciężkości znaku graficznego oznaczającego pęd końcowy powinien znajdować się na osi odciętych na prawo od pędu początkowego).

7. Pomiędzy znak graficzny oznaczający pęd początkowy a ten oznaczający pęd końcowy wstawiamy znak równości (który wygląda jak symbol graficzny równoległości obrocony o kąt 0.5rad).

Danie z powodzeniem można podawać na wszystkich oficjalnych przyjęciach i bankietach fizycznych, gdyż jest to potrawa lekkostrawna, quazi-ogólnie akceptowana przez fizyków.

Qchnia fizyka 4

Magda Rogowska

Tym razem serwujemy wiadomości ze świata nienaukowej (bo qlinarnej) nauki:

1. Fizyczne Towarzystwo Przyjaciół Gumy Do Żucia zwróciło się z prośbą do producentów tego produktu spożywczego o zmianę ogólnie przyjętej formy jaką produkt ten przyjmuje. Oznacza to sprzeciw wobec sprzedawania gumy w formie prostopadłościaków, "listków", "drażetek", a także (nawet!) kuleczek. Swoją decyzję tłumaczą tym, że według nich taki stan rzeczy znacznie podnosi niepewność pomiarową przy badaniu prawa Hooke'a z zastosowaniem właśnie gum do żucia. Towarzystwo proponuje, na ten przykład, zastąpić dotychczasowe formy kształtem przypominającym druty miedziane. Jako komentator (sportowy) mogę jedynie minutą ciszy "uczczyć" decyzję Panów z Towarzystwa. Jedyne co mogę na to poradzić, to uzalić się nad losem biednego pana Hooke'a, który nie przewidział tego całego zamieszania. A należy go żałować, bo już niedługo Panowie przekonają się, że Hooke z gumą ma wspólnego niewiele, bo to facet twardy i quazi-takich (podlegających małym odkształceniom) ciał stałych jego prawo się tyczy.

Kruki

Zuzia Pacholczyk



Jesteśmy krukami żerującymi na padlinie ludzkich uczuć. Z obłędem w naszych małych ślepkach przyjmujemy jakiegokolwiek uśmiechy, uznając je za mannę na pustyni obojętności, wrywamy sobie okruszki ziarna, tocymy walki, dzikie walki o namiastki miłości i przywiązania; patrzymy komuś w oczy i już sami nie wiemy, komu i kim jesteśmy gdzieś w środku, bo w tych oczach widać tylko poszukiwanie uczuć i dziki obłęd, a uczucia nie nadchodzą; nie potrafimy już kochać, gdyż w walce

o okruszki odrzucamy miłość, a odrzucone dusze boją się kolejnych porażek, więc czy nie łatwiej po prostu odejść?

Tym sposobem świat staje się pustynią sunących z wiatrem szarości duchów. Słysząc jęki i zawodzenia, tylko czasem ktoś wyrzuci bukiet, żebyśmy mogli mu się przyglądać z zawiścią.



Astronomy

Rysiek Kostecki

Ja mówię, ty mówisz, on, ona, ono mówi, my mówimy, wy mówicie, oni, one mówią. Cały czas. Gdy ból to słowa, gdy radość to słowa, gdy jakiegokolwiek inne uczucia to słowa. Ja, ty, my, wy. I gdy muzyka to słowa i gdy spojrzenia to słowa. Oni, on i ona. I jeszcze raz. I od dziecka. I jeszcze nad grobem. Żadnej chwili nie przeżywamy w pełni. Nie przezywacie. Nie przeżywają. Poruszamy się (poruszacie, poruszają) w abstrakcyjnych systemach pojęć, systemach abstrakcyjnych pojęć, pojęciach systemów abstrakcyjnych. Jak fantomy i miraże unosimy-wy-oni się w świecie który postrzegamy – o zgrozo!

postrzegacie, postrzegają-jego-ich – a którego nie czujemy już bezpośrednio, tylko poprzez pojęcia, nie czujecie, nie czują. I oto nasz, wasz, mój, twój niedosyt i pustka, pustką, pustki, rozterki – w słowach, ach, pojęciach, tym worku foliowym abstrakcji założonym na głowę, w którym dusimy, dusisz, duszą siebie i nawzajem ja, ty, my, oni, wszyscy w hermetycznych kombinacjach...

I jak gwiazdy na niebie ślemy ku sobie martwe sygnały. Słowa.

...or the light that never, never warms.

O przechodzeniu mimo

Piotrek Witek

To jest jak sakrament, trucizna bogów, którą przyjmuje się jak powietrze, rytuał nieistnienia. A jednak spełniamy to, wbrew sobie, czy może nawzajem, lampka ostentacji, biały kieliszek pełen milczenia. I tak jest zawsze, przecież nie znamy się już tak długo, pośród ulic i milionów spotkań, a w tym my, to co nasze, momenty, w których odnajdujemy się oczami, w których nie pada pytanie, a my bez odpowiedzi odchodzimy z powiewem

miasta, które chce od nas czegoś innego. Tak dobrze smakuje wtedy zapomnienie, słodkie jak eutanazja, owoc samotności. A jednak to wraca jak cień, oboje się tego boimy, momentu, gdy kolejny raz zgubimy się na zawsze, otworzymy oczy w próżni, zbyt blisko, pragnąc uciec, schować się w uścisku i nie widzieć już nic, nie widzieć własnego odbicia w oczach pełnych niepokoju, ulic miasta ślepców, gdzie stoją domy pełne szyb.

2. Na rynek niedługo mają wejść nowe maszynki do mielenia mięsa zwane maszynkami różniczkującymi, które oprócz rozmielenia wszystkiego na drobne podają wiadomości o nachyleniu prostych.
3. Ekolodzy nareszcie przestaną mieć problem z walką z zaśmiecającymi środowiska. Naukowcy pracujący nad problemem odpadków opracowali rewelacyjną metodę pozbywania się śmieci. Jeszcze miesiąc temu opinia publiczna była przekonana, że wykorzystany zostanie pomysł wysyłania śmieci na Słońce, gdzie otwartoby największą w dzisiejszych czasach spalarnię śmieci. Pomysł ten upadł z racji sprzeciwu ze strony astronomów, którzy obawiali się, że zamiast plam na Słońcu zaczną widzieć kupki z wolframowych puszek po napojach. Z tego powodu naukowcy postanowili sięgnąć po pomoc do innych działów fizyki. Opracowali tym sposobem rewolucyjną metodę polegającą na wykorzystaniu zjawiska anihilacji materii. Niedługo ruszy więc produkcja anty-śmieci.

To tyle wiadomości. Żeby jak zwykle zakończyć wszystko równie nieudany jak całość morałem: nic tak nie bawi jak dobre pomysły.

Zielone wstążki ciszy

Ania Galuhn

Zielone wstążki ciszy
oplatają
ciężki kamień w mojej głowie
wygładzają ostre linie
A jestem przecież tak zwyczajnie
Ciężko stąпам po czarnych
chmurach ziemi
która wcale nie ugina się
pod moimi stopami
A szkoda
nie można podskoczyć jak na
trampolinie
spaść w bezpieczną trawę
na pewno jest jeszcze po śniegiem
brudnym i stęsknionym za wiosną
zieloną
Związana wstążkami ciszy
do nieprzytomności
poprzez nabrzmiałe żyły
krzyczę

Alergia *czyli problem kataru i innych smoków*

Przemek Witrowy



Była ciemna, bezksiężycowa noc. W dali słychać było wycie wilka. Nie wiem, do czego wył ten wilk, skoro nie było widać księżycy. Może był to wilk – wariat, może ćwiczył do chóru, może wracał z imprezy, a może oplakiwał urodziny teściowej. W każdym razie wycie powodowało nieodparty nastrój grozy, i to nie takiej grozy, jak w "Opowieściach z krypty", ale takiej prawdziwej, jak w "Nocy żywych trupów". Wiał słaby wiatr, a jakiś kretyn śpiewał "Dupa idzie do szkoły". Jak to często na pustkowiach bywa, było pusto.

Monotonię otoczenia zakłócała jedynie ciemna postać stojąca koło wzgórza. Był to potężnej postury mężczyzna. Miał na sobie długi czarny płaszcz z kapturem, skórzane buty, wytarte spodnie i bluzę Nike. W prawej ręce trzymał sztylet, a w lewej głowę orka. Reszta tegoż orka leżała sobie obok na ziemi i wyglądała, jakby była bez głowy. Ciemna postać dumnie przyglądała się zwłokom swojej ofiary.

– A psik! – mężczyzna wydobył z siebie dźwięk będący bez wątpienia kichnięciem. Po chwili kichnął znowu, tym razem dużo głośniej i cały się zamarkał. Kolejny atak kataru był tak silny, że ciemna postać nie zdołała utrzymać w miejscu prawej ręki, którą energicznie machnęła.

– Ałć, cholera! – krzyknęła, łapiąc się za biodro, które zaczęło lekko krwawić. Zdenierwowana wbiła kilka razy sztylet w głowę orka, po czym włożyła sztylet do buta i w tym momencie przeraźliwie kichnęła.

– Ałć, cholera! – tym razem nasz bohater złapał się za kostkę. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, kopnął to, co do niedawna było głową orka, nóż rzucił na ziemię.

– Ałć, cholera! – nie. Tym razem głos nie wydobył się z jego gardła.

– O, wybacz. – powiedział od niechcienia.

– Nic się nie stało – odrzekła ciemna postać, która właśnie wstała ocierając oczy i wyjmując sobie sztylet z uda. Był to potężny mężczyzna w krótkim płaszczu z kapturem. – Zdarza się. Jak się masz, Pryk?

– Dziękuję, Bek. Ta alergia na smoki doprowadza mnie już do szału. Kiedyś zrobię sobie przez nią krzywdę.

– No tak. To może po małym? – zaproponował Bek. Obaj wyjęli zza płaszcza po kuszy i bezbłędnie strzałami powalili dwóch przebiegających akurat krasnoludów.

– O! Widzę, że nie próżnowałeś. – Bek wskazał na leżące zwłoki.

– Ee, tam. Tak tylko sobie mieczem machałem.

– Acha, rozumiem. Słuchaj, może czekamy w złym miejscu? Całą noc tu sterczymy.

– Słyszałeś co nam mówili ludzie w wiosce. Smok pojawia się na wzgórzu nad ranem.

Bek zrobił mądrą minę, po czym przemówił:

– A może schował się za pagórkiem, o tam? – pokazał palcem na przeciwną stronę wzgórza (praca domowa: jak udało mu się to zrobić?).

– Ty durniu! A widziałeś kiedyś smoka schowanego za pagórkiem?

– No nie, nieważne.

Nagle Pryk zobaczył opuszczającego się na pajęczynie pajaka, który ni stąd, ni z owąd odezwał się do Pryka:

– Cześć. Masz klej?

– Nie.

– No to cześć.

Po chwili milczenia odezwał się Bek:

– Na czym polega twoja alergia?

– Kicham, gdy gdzieś w pobliżu jest smok. A psik!

– Acha. To myślisz, że przyjdzie dziś ten smok?

– A bo ja wiem? A psik! W każdym razie trzeba pilnować do rana. Teraz twoja kolej. – to mówiąc ułożył się do snu. – Ałć, cholera! – schował nóż do torby i zamknął oczy. Nie zdążył jednak zasnąć, ponieważ nagle ciszę przerwał przeraźliwy ryk.

– A psik!

Obaj mężczyźni wyciągnęli pośpiesznie miecze i gotowi do walki czekali na rozwój wydarzeń. W pewnym momencie zza wzgórza wychylił się ohydny łeb smoka.

– A psik!

Bestia spojrzała okrutnymi przekrwionymi ślepiami na dwie ciemne postacie, łypnęła, poprawiła brwi, po czym ryknęła i wzbila się w powietrze. Powoli odsłaniało się olbrzymie cielsko. Najpierw oczom wojowników ukazały się przednie łapy w gumowych rękawiczkach. Później odsłoniły się błoniaste skrzydła. Za nimi były kolejne, i jeszcze następne. Dalej znajdowały się tylne łapy, za nimi ogon, za którym nie było już nic. Potwór zionął ogniem i ruszył do ataku.

– A psik!

Kichnięcie było tak potężne, że alergik przewrócił się, a wywołany przez nie podmuch zgasił płomień. Smok stracił równowagę i upadł na ziemię. Bek skoczył do przodu i błyskawicznym cięciem zagłębił miecz w szyi potwora. Smok wrzasnął tak, że sam się przestraszył, wypluł butlę gazową z palnikiem i padł martwy.

– A psik! Aleś go załatwił. Dobra. Zjeżdżajmy stąd, bo zakicham się na śmierć.

Dwie ciemne postacie zniknęły za zboczem. W pewnej chwili zwłoki ofiary łowców poruszyły się. Łeb się podniósł i odleciał kilka metrów, jakby pchnięty jakąś wewnętrzną siłą. Z szyi wyszło siedmiu skromnie ubranych mężczyzn.

– Ale mi śmignął tym mieczem przed nosem. Następnym razem siedzę na ognie. – odezwał się pierwszy z nich.

– Kolejni łowcy uwierzyli w te bajki o smokach. Niedługo nasza wioska stanie się atrakcją turystyczną i będziemy bogaci. – rzekł drugi.

– O ile nas nie potną ci łowcy.

– Nie gadaj tyle, tylko pomóż nam zabrać skórę smoka. I nie zapomnij palnika. – sześć zagadkowych postaci ruszyło w stronę wioski.

– A psik! – kichnęła jedna z nich.

– Co jest?

– Mam alergię na łowców smoków.

Tymczasem zza zbocza wychylił się złowrogły łeb smoka...

Jak rozpętałem I wojnę kosmiczną

Konrad Grochowski

Jest ciemna, księżycowa noc. Kolejny wybuch oslepił mnie tak, że zamknąłem także trzecie oko. To już piętnasta eksplozja odkąd ukrywam się w czymś co kiedyś było kanalizacją Wielkiego Miasta. Przebywanie tu jest niebezpieczne (głównie z powodu szczu...ehm, sześcionożno-czulkowych stworzeń z mackami i jamą chłonoctrawiącą), ale i tak jest tu lepiej niż na powierzchni. Tam są Oni. A Oni szukają Mnie, a Ja się przed Nimi ukrywam (kocham wielkie litery!). Zresztą stosują dziwną taktykę: najpierw zrzucają małą bombkę na miasto, czekają na odpowiedź z Ziemi i po naszych pukawkach schodzą na pogorzelsko i szukają Tego.

No! Szesnasta eksplozja! Wiedziałem, że Amerykańce jeszcze jedną termojądrówkę gdzieś trzymają. No tak. Ale to znaczy, że jak się przejaśni to Oni przybędą. Mam więc mało czasu. Chciałbym napisać jak do tego doprowad...doszło. A więc:

Do pierwszego żywego, niezmutowanego oraz umiającego czytać Człowieka, który spojrzy na tę kartkę!

Zaczęło się jak zwykle niewinnie: Jasny słoneczny dzień, zielony park, niezidentyfikowany pojazd kosmiczny z silnikiem antygravitacyjnym, struga światła, sala doświadczalna... Naokoło mnie stało wiele małych zielonych ludzików. Przypatrywali mi się z zaciekawieniem. Jeden na chwilę przerwał aby się najeść (spodem dłoni wessał najprawdopodobniej wodę z solami mineralnymi i przy użyciu chlorofilu zawartego w skórze dokonał fotosyntezy), po czym powrócił do przyglądania się mi. Denerwowało mnie to, więc postanowiłem się odezwać. Ale ponieważ przed startem (a może jeszcze nie leciałem?) wypilem dużo roztworu H₂O w CO₂ więc udało mi się tylko porządnie... Przepraszam, zapędziłem się. Ich reakcja była jednak zadziwiająca. Otóż odpowiedzieli mi czymś podobnym. A dokładniej zaczęli

prowadzić dialog między sobą składający się z beków w różnej tonacji i od czasu do czasu beltów. Tą konwersację przerwało im wejście innego ludka z czymś co przypominało karabin plazmowy z jakiegoś komiksu. Pierwsze co zrobił, to z otworu, przy użyciu którego porozumiewali się, wy dobył głębokie pierdnięcie, na co wszyscy wokół mnie stanęli na baczność i wszedł Ktoś Ważny (osądziłem to po tym, że niosło go czterech wychudzonych a on był przez...fotosyntezowany). Spojrzył się na mnie, na swoją dłoń i beknął na jednego ze swoich podwładnych, który gdzieś pobiegł. Po chwili wrócił, niosąc coś na poduszce. W momencie, w którym wydawałoby się, że chce to dać władcy, wykonał przedziwny taniec na jednej nodze (tak jakby się potknął), upadł przede mną na twarz, a przedmiot rzucił na moje kolana. Wyglądało to jak cukierek, więc doszedłem do wniosku, że po prostu chcą mnie nakarmić, a że byłem strasznie głodny to skonsumowałem cukierek na miejscu. Oni zamarli. Wtedy wniesiona została najprawdopodobniej żona (nie pytajcie jak rozpoznałem płeć) Ktosia Ważnego, z takim samym cukierkiem na palcu. Po chwili dość dokładnie przyjrzała się rękonom męża i wtedy się zaczęło! Z tonacji można się domyślić, że były to najgorsze beko-bluzgi jakie znał świat. W powstałym zamieszaniu postanowiłem się ulotnić. Spokojnie wybiegłem więc z sali i zacząłem intensywnie myśleć. Kiedy po pięciu minutach dobiegałem do czegoś w rodzaju okna, już domyśliłem się co tam się stało. Otóż "cukierek" był najprawdopodobniej obrączką Ważnego, a żona właśnie mu teraz głowę myje. Wydało mi się to zabawne, aczkolwiek nasunęła się też inna refleksja: czy Oni zauważyli już brak mojej osoby. Pierdząca syrena alarmowa udzieliła mi odpowiedzi. Tak więc dalej spokojnie pobiegłem wzdłuż linii okien z widokiem na Ziemię w pełni, w poszukiwaniu wyjścia. Nagle trafiłem na coś co wyglądało jak wychodek. Postanowiłem zbać dać go dla dobra ludzkości. Zamknąłem

Varślownik języka polskiego

Piotrek Traczyk (Traq)

Ponieważ po pierwszym wydaniu varślownika poza spodziewanymi licznymi pochwałami i wyrazami uznania dotarły do mnie również głosy krytyki, chciałem tym razem na wstępie postawić parę spraw jasno:

Po pierwsze – przeczę jakobyem kiedykolwiek wypowiedział twierdzenie, że niniejszy varślownik jest najlepszym ze wszystkich możliwych varślowników. Jestem w pełni świadom niedociągnięć i poprawiam je w miarę upływu czasu.

Po drugie – język, który pragnąłem przybliżyć czytelnikowi pisząc ten varślownik, jest językiem żywym i ciągle ewoluującym. W związku z ciągle trwającymi badaniami zawartość varślownika jest ciągle uzupełniana i uściślana.

Po trzecie – konstrukcja przedmowy po trzy wiersze w akapicie [teoretycznie – przyp. red.] nie ma żadnego znaczenia symbolicznego i wynika raczej z mojej wrodzonej niezdolności do wodolejstwa – mimo usilnych starań nie potrafię spłodzić więcej.

Po trzecie a) – tak, poprzedni akapit został dopisany w celu zwiększenia objętości przedmowy, żeby wyglądała poważniej. Uważny czytelnik być może dostrzegł, że ten akapit również nie wnosi nic nowego i spełnia podobną funkcję.

Chciałem przy okazji podziękować wszystkim którzy pomogli mi w przygotowaniu tego varślownika. Konstruktywna krytyka została uwzględniona, a wypowiedzi w stylu: "kiepskie, nie czytam dalej" zignorowane.

Postanowiłem nie wymieniać wszystkich, którym należą się podziękowania, z obawy przed tymi, których wymienić zapomniałbym lub nie chciałoby mi się. Zamiast tego gorąco pozdrawiam wszystkich varstowników.

A teraz do rzeczy, czyli do varślownika.

akwarela technika malarska popularna w kręgach varstowników pod koniec XX w. Uznawana była za jedyny sposób na uwiecznienie vary poprzez przeniesienie jej na płótno. Najwybitniejszy artysta tego prądu to Zygmunt

drzwi, usłyszałem trzask i poczułem przyspieszenie, parę minut później turbulencje, a potem gwałtowne uderzenie. Obudził mnie żołnierz, który wytłumaczył mi, że jestem w Pentagonie, a rozbiłem się w centrum Nowego Yorku. Zaczął zadawać wiele męczących pytań, ale uratowała mnie syrena alarmowa (tym razem nie pierdziała). Otóż coś podobno zniszczyło Nowy York, a grupa ufoludków napadła jakiegoś niewinnego faceta (był bardzo podobny do mnie) i wkładając ręce przez gardło starało się coś z niego wyciągnąć. Gdy wyciągnęli jelito grube, to przestali. Znow powstałe zamieszanie pomogło mi się ulotnić. Kiedy wyjeżdżałem zobaczyłem pierwsze

rozbłyski naszej odpowiedzi. Potem wyparował Waszyngton, a mnie coś tak oświeciło, że zrobił mi się guz na czole (jak tylko zszedł to wyrosło mi oko). Trochę później (kiedy zniszczono Moskwę) zrozumiałem, że Im chodzi o mnie...

Niestety muszę kończyć. Oni zbliżają się. Chyba znaleźli wejście do kanałów. Pisk! Jakiś szczur oberwał! O nie! AAA! Gdzie ta łapa...! chrmmm...ble...sostaf to!! AAAUUUU! AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA

Autor naprawdę zdążył to zapisać. Niestety nikt tego nie przeczyta, bo Ziemia została zniszczona. (Chyba tak, no nie???)

Guta. Niektórzy badacze uważają, że były to dwie osoby o pseudonimach Zygmunt i Guta. Jak dotąd nie udało się tej hipotezy wykluczyć ani wystarczająco potwierdzić.

akwarium techn. specjalny pojemnik w którym utrzymywany jest stan niewarzkości. Stosowany najczęściej do ochrony przed zvarciami varystorów.

antykvariat sklep w którym można kupić książki związane tematycznie z varą. Niektóre antykvariaty prowadzą również skup towaru.

avaria nagle, zazwyczaj nieoczekiwane pojawienie się vary.

bavarka napój powstały przez zmieszanie herbaty z krowim mlekiem. Wbrew pozorom nie ma z varą nic wspólnego i trafił do niniejszego warsłownika przypadkiem.

brovar napój którym vartownik leczy varę. Nie zawsze skuteczny, w skrajnych przypadkach powoduje awarie, choć nie ma gwarancji.

bulvar potoczna nazwa legendarnej ulicy Warszawy gdzie mieściła się spółka "Heniek & Józek" wypiekająca chlebki i słynąca z towaru najlepszej jakości.

czvartek dzień tygodnia poświęcony pamięci o vartownikach. Zwyczajowo obowiązuje tego dnia post od brovarów.

drypa zob. *vara*. Występuje również w grzecznościowej formie pożegnania "*dobrej drypy!*".

drypić wykonywać jakąś czynność z miernym skutkiem.

folvark gospodarstwo wiejskie nastawione na produkcję varzyw.

gvar lekki vartok.

gvara rodzaj dialektu zrozumiałego dla vartowników. Używany bywa zarówno na varcie, jak i poza nią.

gvaramcja nieuchronne wystąpienie vary. Rychła avaria.

gvardia specjalna jednostka militarna zajmująca się ochroną konwojów z kvarcem, poza tym znana jako atrakcja otvarć.

gvardzista członek gvardii.

invariant mat. element macierzowy tensora vary w przestrzeni Hilberta niezmienniczy ze względu na lokalnie ciągle zmiany varty. Teoria invariantów została stworzona w XX wieku przez grupkę warszawskich matematyków i stanowi obecnie ważny dział rachunku variacyjnego.

kvarantanna przymusowe odosob-

Wspomnienia Vadera

Czyli Gwiezdne Pokoje - wersja niespecjalna. Tom 4

Adam Gąsiewicz (Jurij)

Chyba **Środa** – bo gdzieś w kosmosie na pewno jest środa!

Dzisiaj rano mój Mały Niszczyciel został niecnie zaatakowany. Lecąc w misji dyplomatycznej został przechwycony przez znacznie większą i silniejszą korwetę piracką, dowodzoną przez znaną dysydentkę i renegatkę Leię Organę. Wykorzystując oczywistą przewagę i ignorując wyraźnie wymalowane znaki dyplomatyczne (sam kupowałem plakatomy – nie marnuje się talentów z dzieciństwa), oraz Konwencję Genewską (czymkolwiek jest), próbowali nas porwać przez abordaż. Tylko moja niezrównanie dzielna postawa na polu walki pozwoliła na odparcie groźnego zagrożenia. Gdy wszyscy myśleli że już przegraliśmy, pojawiłem się ja i szarżując w stronę przedziału z kapsułami ratunkowymi nadziałem sobie na rękę cały oddział przeciwników. Nie to żebym się bał, ale słyszałem co oni robią z jeńcami, lepiej nie mówić. Oczywiście znikąd podziękowań, wszyscy się powykrzywiali, pokaszleli, obtarli spocone szyje i rozeszli gdzieś po okręcie, byle tylko mi nie patrzeć w oczy. Niewdzięcznicy! Kiedyś mi za to wszyscy zapłacicie!

Po statku chodzą pogłoski, że od napastnika jakoby oddzieliła się jakaś kapsuła, ale ja nie wierzę w takie bajdy,

tworzone dla podkopania morale i wiarygodności dowództwa.

Wieczór: Ta Leia to naprawdę groźna desydentka, jest poszukiwana listem gończym. Widziałem w gazecie, którą zabrałem jakiemuś szturmowcowi – i tak już przeczytał. Lepiej odwiozę ją do ordynatora Tarkina, mojego przyjaciela i kolegi (po fachu, he, he, he, ...ups! poniosło mnie...). Podobno buduje stację kosmiczną, która służąc za szpital ma od razu cały sektor obsługiwać. Jaki ten Tarkin to filantrop. Stary filut! Wracając do Lei, może uda się wyleczyć ją z tych omamów, że jakoby Prezydent źle postępuje z mieszkańcami Republiki. W ogóle jak ona może tak myśleć? Następną ideową fanatyczka, zapluty karzeł reakcji! Tfu! To na pewno przez złe wychowanie, znam takie rozpieszczone dzieci z bogatych rodzin. Ona niczemu nie winna, wiem co mówię, sam wychowałem się w biednej rodzinie, gdzie ceniono tylko pracę, a nie zbytki. (Mam nadzieję.)

Po obejrzeniu dobranocki (biedne Smurfy) wdziałem pidżamkę w zielone TIE-fighterki i wskoczyłem do łóżeczka. Z powodu natłoku wydarzeń nie mogłem zasnąć, więc czytałem do poduszki przy latorce, bo po 22:00 na pokładzie panuje cisza nocna. Czytam teraz Terminatora – fajny gość.

Mam nadzieję, że nie będę się dzisiaj bał ciemności i szybko zasnę. Ale i tak pewnie będę musiał założyć tę ohydłą maskę, żeby nikt nie widział moich podkrążonych oczu – to daje taki zły przykład, a potem obgadują mnie za plecami i opowiadają jakieś niestworzone rzeczy.

Acha, ciekawe jak tam mój drogi synek, mam nadzieję, że nie obraca się w tych złych środowiskach młodzieżowych. On jest taki podatny na wpływy.

Czwartek – no bo wczoraj przecież była środa, a może ktoś zaprzeczy?!

Dzisiaj rano znowu na śniadanie były płatki z mlekiem. Próby zjedzenia Tego Czegoś z powodu maski spełzyły na niczym. Musiałem używać znowu słomki, a te ohydne płatki zatykały ją tak, że omal się nie udusiłem.

Po przybyciu na stację szpitalną, by poprawić sobie humor odwiedziłem Leię. Biedne jagniątko opętane przez mylną ideę. Nasze badania wykazały paskudnie zmutowany wirus grypy. Biedactwo ma straszną gorączkę.

Musieliśmy zaaplikować jej antybiotyki. Głupia pielęgniarzka pomyliła "ludzką" strzykawkę, ze strzykawką dla banthy. Środki znieczulające musiały być przeterminowane, bo biedactwo strasznie krzychało. Gdyby nie moje humanitarne ogłuszenie biedaczki, mogłoby się jej pogorszyć. Pielęgniarzka za to wszystko zapłaci!

Nawiasem mówiąc: od korwety pirackiej rzeczywiście odzieliła się jakaś niepozorna kapsuła. Dlaczego o niczym nie wiedziałem?! Ktoś za to zapłaci!

Po południu: Złe wieści z Tatoinee. Jakiś pijany psychopata – kierowca piaskoczołgu rozjechał doszczętnie dom ubożego farmera. Farmer zginął wraz z całą rodziną, biedak, kimkolwiek był. Wysłałem grupę wyszkolonych dyplomatów-psychologów by odwiedli kierowcę od kontynuowania jego szalonego rajdu po planecie. Niestety ten wariat tak się na nich zapatrzył, że wpadł na jakąś zapewne starą minę, której nikt się w tym miejscu kompletnie nie spodziewał.

Coś jednak mi poprawiło humor. Po raz pierwszy od dawien dawna popatrzyłem w lustro. Oczywiście, zaraz pękło, ale w kawałkach dostrzegłem, że maska jest nawet twarzowa i że pasuje mi do koloru oczu.

Wieczór: Leia miała jakieś koszmary, że coś podobno zniszczyło jej rodzinną planetę. Rzeczywiście, koło południa słychać było jakiś huk koło lewego hangaru, ale żeby tak od razu cała planeta, raczej niemożliwe.

Ach tak, prawda! Koło 16:30, wpadł do hangaru bezzałogowy statek. Ile to śmiecia wala się teraz po kosmosie. Ludzie ubezpieczają na maksymalne sumy, a potem: "Zgubiłem", "Sam poleciał", lub coś w tym stylu. Na razie wysłałem tam grupę wykwalifikowanych inżynierów, by wymontowali generator mocy. Wysiadła mi ładowarka akumulatorów do Walk-Mana.

Piątek – ale głowy nie dam.

Tuż po północy obudził mnie alarm. Nastąpił groźny wyciek kanalizacji w sektorze dla ciężkich przypadków grypy. Same kłopoty i znikąd wsparcia. Czy te tłumoki nie potrafią niczego same załatwić? Jak zwykle ja musiałem się wszystkim zająć, więc dla uspokojenia nerwów przespacerowałem się w stronę pokoju Leii, by zobaczyć czy z nią wszystko w porządku... W czasie spaceru spotkałem mego dawnego nauczyciela i zaprosiłem na partyjkę szermierki. Drań, gdy zaczynałem wygrywać, gdzieś wyparował. Wytrąciło mnie to z równowagi i nawet wydawało mi się potem, że widziałem mego synka, ale jakaś oblużowana kłapa spadła właśnie i oddzieliła mnie od niego, kimkolwiek był. Jakiś pacan wyłączył sztuczną grawitację i ten już nie-bezzałogowy frachtowiec wyleciał na zewnątrz. Wysłałem więc za nim statki holownicze, lecz co za nieszczęście, wszystkie się ze sobą pozderzały. Postanowiliśmy polecić za nim szpitalem, gdyż istnieje podejrzenie, że na statku znajduje się chora Leia. Skąd i dlaczego? Nie mam pojęcia, ale ktoś za to zapłaci! Musimy ostrzec załogę frachtowca, że na pokładzie znajduje się ciężko chora Leia, potencjalne źródło wywrotowych idei.

Sobota – a zresztą kogo to obchodzi?

Goniąc uciekający frachtowiec cały czas na maksymalnej prędkości, weszliśmy przypadkiem na kolizyjny kurs z księżycem planety Yavin. Dowódca frachtowca za to zapłaci! W tej samej chwili zostaliśmy zaatakowani przez Myśliwce O Zmiennej Geometrii Skrzydeł W Kształcie Litery X

nienie nadmiernie varznej osoby.

kvarc minerał o dużej wartości. W muzeum w Warszawie znajduje się legendarny kryształ o wartości 330MVt (tyle co 10 ton warzyw).

kvarki fiz. kwanty vary (dodatni i ujemny), elementarne cząstki o masie 12,3 GeV i spinie 3, teoretycznie przewidziane jako bozony pojawiające się w wyniku wprowadzenia nieabelowej symetrii cechowania SU(2) w VFT (Vara Field Theory). Doświadczalnie zaobserwowane w 1999r.

kvarta ludowa nazwa, oznacza około 4kg warzyw.

kwartał odstęp czasu od czwartku do czwartku następującego cztery tygodnie później. W każdym roku jest około 13 kwartałów.

kwartet zespół czterech vartowników udających się na bijatykę, zwanych tvardzielami. Przez lata sprawdzono efektywność grup czteroosobowych i opracowano wiele technik działania zwanych varstwami.

lekcevarzyć delikatnie wykonywać jakąś czynność z umiarkowaniem miernym skutkiem (zwrot lekcedrypić nie przyjął się).

levarek narzędzie używane w warsztatach przy usuwaniu awarii w vartburgach. Źródła podają sprzeczne informacje dotyczące wyglądu oraz zasady działania, istnieje podejrzenie, że to słowo w rzeczywistości nie oznacza żadnej konkretnej rzeczy.

nievarzkość stan kompletnej nieczułości na varę.

obvarzanek rodzaj towaru, początkowo nieznany w Warszawie, przyjął się dopiero niedawno.

odvarzyć się pozbyć się vary.

otvarcie uroczysta ceremonia związana z oddaniem do użytku publicznego nowego warsztatu.

Pavarotti, Luciano powszechnie znany kucharz, mistrz w przyrządzaniu warzyw.

piwovar osoba, która poświęciła życie na produkcję browarów.

poczvara wyróżniany przez niektórych badaczy stan przejściowy w procesie powstawania vary. *biol.* motyl na varcie.

podvarzyć podstępnie sprowokować pojawienie się vary u innej osoby. Według nowego kodeksu karnego grozi za to kara do 2 lat przymusowych robót w warsztatach.

povarzać okresowo i nieznacznie



i Myśliwce O Niezmiennej Geometrii Skrzydeł W Kształcie Litery Y. Jednocześnie pojawiło się mnóstwo frachtowców z uciekinierami z planety skazanej na zagładę. Postanowiłem wylecieć i dawać sygnały frachtowcom by skryły się w stacji. Ale wszyscy tak się zapatrzili na mój myśliwiec, że się pozderzali ze sobą, lub rozbili o powierzchnię szpitala. Tylko statek z Organą gdzieś się zawieruszył. Prawie wszyscy zginęli, co za pech, bo udało nam się wyhamować. W czasie gdy broniliśmy frachtowców przed bandyckimi myśliwcami, zaatakował mnie szczególnie MOCny myśliwiec. Czy to

możliwe by to był mój syn, czy mógł wpaść aż w tak złe towarzystwo?!

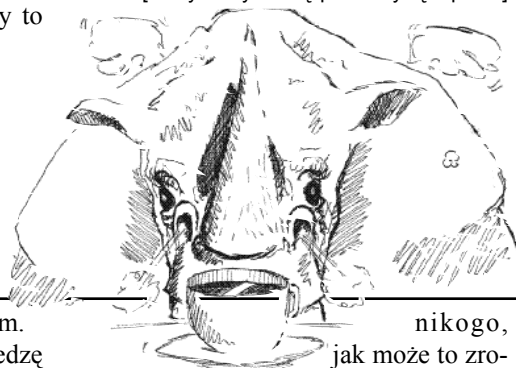
O Ciemna Śrubka! Właśnie przypomniałem sobie, że nie zakręciłem gazu na kuchence!...

* * *

Gdy szpital z niewiadomych przyczyn wybuchł, mój statek niesiony siłą eksplozji odleciał w kosmos, a mnie zakręciło się w głowie. W kosmosie wirują małe plamki, ale to jest puste – ciągnie się w nieskończoność i...

O mój Boże, t a m j e s t p e ł n o g w i a z d !

[Na tym urywa się pierwszy rękopis....]



przyczynić się do występowania awarii.

povarzny często będący pod wpływem vary, spędzający dużo czasu na varcie. Nie dotyczy osób znajdujących się pod wpływem wywarów.

przewartościować zmieniać wartość lub poprawiać pomiar wartości.

przevarzyć stać zbyt długo na varcie. Może to doprowadzić do nieodwracalnych zmian psychicznych, jak również fizycznych. Odnotowano jeden przypadek śmiertelny.

przyvara cecha osobnicza powodująca zwiększoną podatność na działanie różnych wywarów, jak również przedłużenie czasu spędzanego na varcie.

rozvarcie przeciwieństwo zvarcia.

rozvartokątny *mat.* posiadający kąt rozvarty, co w przypadku kątów oznacza proporcjonalność do wartości ramion.

rozvarzania przemyślenia vartownika, zazwyczaj niezwykle bogate treściowo i ubogie semantycznie, choć bywają przypadki przeciwne.

rozvarzyć przemyśleć, zwykle w odniesieniu do vartownika. Przez niektórych mylone z *odvarzyć*.

samovar naczynie służące do przygotowywania wywarów. Daje zdecydowanie lepszą jakość napoju niż często używany w tym celu zwykły garnek.

skvar pogoda sprzyjająca powstawaniu vary. Z tego powodu zalecane jest spożywanie brovarów podczas skvaru w celach profilaktycznych.

skvarki potrawa wymyślona według legendy przez nadworną kucharkę varaona Grzmisława II. Miała duże znaczenie w ekonomii Varmii w XVI wieku, a obecnie jest ulubionym przysmakiem wielu vartowników.

spavarka *med.* narzędzie używane przy leczeniu stovarzyszeń.

stovarzyszenie choroba polegająca na biologicznym uzależnieniu od obecności vartowników. Osoba na nią cierpiąca większość czasu musi spędzać na towarzystwie. Wyróżnia się stovarzyszenie pierwotne i wtórne, pierwotne polegające na uzależnieniu od samej vary, wtórne od vartowników.

stvardnieć nabrać twardości.

stvardnienie stwierdza się w przypadku stałej, dość dużej twardości. Pożądane u tvardzieli, u zwykłych vartowników bywa męczące.

La granda metafora

Olek Koziarski

Siedzę nad czarną kawą i czekam. To banalne? I co z tego. Ja siedzę nad kawą i czekam. Właściwie nic się nie dzieje. Za oknem przeleciało 96 nosorożców. A tak, policzyłem wszystkie. Ryba spyta czy błękitnych. Rafałowi też już wyjaśniam, że nie były ani trochę podobnie umaszczeniem do jego ulubionych różowych słoni. Otóż nie. To zwyczajne nosorożce jawajskie. Może nie byłoby w ich przelocie nic nadzwyczajnego gdyby nie to, że na całym świecie żyje ich około pięćdziesięciu sztuk, a okres ich migracji już dawno minął. Jakkolwiek nietypowy czas można tłumaczyć globalnym ociepleniem i tajemniczym el niño, to czy można odpowiedzialnością za spotkanie anormalnie dużej liczby tych zagrożonych wyginięciem ssaków obarczyć moje szczęście, które dotąd raczej mi sprzyjało? Za oknem się uspokoiło i powoli zapominam o nosorożcach. Przecież nie na nie czekałem tyle czasu. Czas płynie, kawa stygnie i wypełnia pokój aromatem. I ja stygnę, niemoc mnie ogarnia, a w filizance nic się nie dzieje. Kawa ani drgnie. Już nawet nie unoszą się z nad niej smużki pary, chyba ja zaczynam się unosić. Ach, gdybyż to była herbata! Jasna, klarowna, urozmaicona plasterkiem cytryny, na którym można byłoby zawiesić wzrok. Herbata jest lepsza, bo nie oszuka nikogo, nie ukryje w swym mrocznym wnętrzu niczego ani

nikogo, jak może to zrobić podstępna czarna kawa, której tajemnicza moc zniewala i wciąga słabe ofiary chwilowego zauroczenia jej barwą i zapachem. W filizance nie ma nawet łyżeczki, więc nie mogę zbadać przejrzystości cieczy. Wpatruję się zatem w ciemną tarczę otuloną fajansową skorupką. Może jednak widzę dno... Musi gdzieś tam być. Pamiętam, że zawsze jest jakieś dno, więc i tym razem musi tam być. Kto to słyszał o kubku bez dna? Gdybym tylko miał łyżeczkę... Już nie wstanę po nią. Patrzenie w mrok jest zbyt wciągające. Wprost nie mogę się oderwać od tajemniczej, nieokreślonej głębi, niezwyklej jak nocne niebo. Kto widział, ten zrozumie. Och, jak wciąga, wciąga bez reszty. Czuję jak pochłania mnie ciemność, zanurzam się w aksamitnej ciszy, rozplątam się jak ziarenko cukru. Chyba widzę dno. Tak, jest coraz bliżej, mogę go dotknąć! I już teraz wiem, że to ja jestem na dnie, a tam w górze zakrywa mnie czarna przestrzeń. Teraz rozumiem, że stąd nie ma ucieczki, mogę już tylko kręcić się w kółko, mogę patrzeć i czekać dalej. Może spóźniona wreszcie przyjdzie. Patrzę w górę. O! Jest! Widzę ją przez kawową zasłonę, czarną mgłę bez skazy. Zbliża się. Nienaturalnie duża, zasłania cały widnokrąg, przysłania cały świat. Bo świat jest mały. Tak mały jest świat mieszkańca filizanki...

Bardziej prawdziwa historia Youki Pouka

Paweł Lubowiecki

Kilka słów w ramach ogólnego wyjaśnienia, czyli na co komu pisać głupkowate teksty na temat miłości i dlaczego Henio nie kupił pompki do rowerów. (kropka)

Drodzy czytelnicy, jak sami dobrze wiecie, w poprzednich numerach [chodzi o poprzednie numery Anytena Mleka, gdzie po raz pierwszy ukazały się historie Youki Pouka – przyp. red.] ukazywały się kolejne części opowiadania o Youkim Poukim. Wzbudzały one niejaką sensację wśród naszej młodzieży, zachwycając wszystkich ogromną ilością bohaterów, którym, jak wiadomo, poprzedni autor, niejaki pan Lubowiecki nadał cechy swoich szkolnych przyjaciół. Pozmieniał imiona i ponaciągał prawdziwe fakty dla potrzeb swojej nędznej twórczości oraz dla nikłego rozgłosu. W rezultacie otrzymał kiepskiej jakości dzieło, pisane raczej pod publiczność, niż z jakichkolwiek głębszych pobudek. Ukazała się już nawet pierwsza część "Nowych przygód", niestety równie zmyślona i poprzekręcana, jak poprzednie. Nie mogłem nie zainterweniować. Pamięć tak wielkiego bohatera i tak znaczącej postaci, jakim jest bez wątpliwości Youki Pouki zasługuje na szacunek. Moi drodzy, zapraszam Was zatem na lekturę prawdziwej historii Youki Pouka.

Pavlo (autor alternatywny)

Henio siedział na tej samej ławce w parku. Czekał na starego przyjaciela, na kogoś z dawnych dni. Musiał mu zaufać jeszcze raz. Wróg ich znowu był blisko. Tym razem mocniejszy i lepiej przygotowany. Ale i Henio nie próżnował, dobrze się ubezpieczył, zakończył wszystkie sprawy i pożegnał znajomych. Teraz czas na walkę. Czekał już dość długo, jeszcze raz sięgał myślami do czasów, kiedy widzieli się z Youkim po raz ostatni, gdy zaczęła się ta historia.

Wiedział, że widzi ją pewnie ostatni raz. Bał się, nie chciał zostawiać ukochanej. Ona też się bała, jej ciało drżało pod jego dotykiem. Ich związek wyszedł teraz na jaw. Musiał odejść, bo Rulez wiedział o wszystkim. Z całego serca nienawidził Youki Pouka, za to, że zabierał mu rodzinę i że zaskarbił sobie miłość jego ojca. Youki musiał uciekać. Właściwie przyszedł się pożegnać, jednak nic nie mówił Frani o swoim wyjeździe. Pocałował ją jeszcze raz. Wstał i zamknął za sobą drzwi. Nie zauważył jej łez, ona nie widziała jego. Na zewnątrz panował mrok, było straszliwie chłodno. Zapiął swój płaszcz i ruszył przed siebie. Zostawiał przyjaciół, rodzinę i chorego ojca. Uciekał całkowicie sam, tak bardzo sam. Światła ostatnich domów zniknęły za drzewami lasu. Musiał zapomnieć, musiał odejść.

Złość i nienawiść paraliżowały jego ciało. Ból głowy był nie do zniesienia. Chciał coś zrobić, miał zamiar zgładzić tego knypka. Nawet wiedział, gdzie go szukać. Frania mieszkała w drugim końcu osady. Tam go znajdzie. Z Franią policzy się później – jego własna siostra tak szargała pamięć ich przodków. Skandal! Fala bólu znowu zalała jego skronie. Rulez biegł przez całą osadę. Musiał zdążyć. Pod domem jego siostry panowała zupełna ciemność. Zaczął się pod jakimś drzewem. Oczekiwał. Myślał. Jak ten nieudacznik zaszedł tak daleko? Rulez czuł, że to śmierdząca sprawa. Jego mistrz mówił mu coś o tym knypku. Nigdy go nie lubił. Mistrz mówił o jakiś prorocत्वach. Musiał uważać. Ta ich cała przepowiednia, bzdury. Znał siebie, był za dobry. Nikt mu nie przeszkodzi. No, wreszcie pojawił się ktoś. Jakaś postać wyszła zza drzew. Nie widział dokładnie. Postać powoli szła w stronę drzwi. Wyjął potężny miecz, jedyna niezawodna metoda, bez cienia szans. Postać była już blisko. I on wyłonił się z kryjówki. Przeciwnik stanął sparaliżowany. Jedno szybkie uderzenie miecza. Trafiał, czy zabił? Nie widział zbyt dokładnie, było ciemno, a on był zmęczony. Trafiał.

stvarzać powoływać do istnienia poprzez krótkotrwałą, intensywną koncentrację vary.

svary częste kłótnie pomiędzy vartownikami zbyt długo stojącymi na varcie.

szuvary zarośla występujące na brzegach rzek, najczęściej nad rzeką Vartą, szczególnie w środkowym biegu. Przez znawców uważane za podstawowy składnik przy wyrobie wywarów.

szybkovar naczynie przyspieszające przygotowywanie niektórych potraw ze względu na panujące wewnątrz wysokie ciśnienie powodujące podwyższenie temperatury wrzenia wody. Próby sporządzenia wywaru w szybkovarze speliły na niczym.

tovar zazwyczaj chlebek, bułki lub chałka. Za najlepszej jakości tovar uznawany jest chleb razowy, również dobrą opinią cieszą się grahamki. Po napaleniu w piecu można wypiekać chlebki jeżeli nie ma vary. Inaczej efektem wypieków są zwykle bułeczki lub wręcz rogaliki z makiem. Ostatnim krzykiem mody są obwarzanki.

tovarzystwo spędzanie czasu z vartownikami. Zbyt częste może być objawem stowarzyszenia. W takim przypadku należy jak najszybciej udać się do specjalistycznej poradni.

tovarzysz osoba regularnie spędzająca czas z vartownikami, czy to z sympatii, czy to z powodu stowarzyszenia.

tvardość miara siły i determinacji tvardziela.

tvardziel vartownik udający się na bijatykę, tvardziele zwykle występują w kwartetach.

vara stan umysłu jednostki bądź zbiorowości charakteryzujący się trudną do określenia mieszaniną nastrojów i emocji o ogólnie drypny charakterze. Używana również jako zwyczajowe powitanie lub pożegnanie "vara!".

varan ssak, gatunek odkryty niedawno w okolicach Warszawy. Jego pojawienie się może mieć jakiś związek z rosnącą liczbą vartowników w tym mieście, choć plotki jakoby zwierzę to żywiło się varą wydają się przesadzone.

Varaon legendarny tytuł władcy Varmii i Mazur. Według legendy nadworna kucharka jednego z pierwszych varaonów (Grzmisława II) wynalazła skvarki, późniejszy przysmak i główny produkt eksportowy Varmii.

Bezwładne ciało osunęło się na ziemię. Paskudny uśmiech wykrzywił twarz Ruleza, a jednak nie poczuł satysfakcji. Wytarł miecz i odszedł. Zimny wiatr rozwiał mu włosy, zaczęło padać. Stało się, było po wszystkim.

Henio poczuł dziwne ukłucie w sercu. Coś miało się wydarzyć, mówił mu to jego wewnętrzny mechanizm ostrzegawczy. Paskudne klucie serca. Musiał się spieszyć. Wyciągnął stary rower dziadka. Stary złom nie miał powietrza w kołach. Wsiadł i zaczął pedałować. Wieczór był wyjątkowo pochmurny, księżyc schował się za grubą warstwą burzowych obłoków. Ledwo co widział. Zaraz się rozpada. W końcu dotarł. Miał nadzieję, że zdąży przed jego odejściem. Dom Frani stał na uboczu wśród drzew. Było ciemno. Zsiadł z roweru i oparł go o drzewo. Wolnym krokiem ruszył w stronę drzwi. Szedł wolno, klucie w mostku nasilało się...

Pęknięcie suchej gałęzi zatrzymało go. Henio powoli odwrócił głowę. Zdażył tylko zobaczyć ostrze długiego miecza. Zasłonił się ręką. Poczł jak pęka mu kość. Uderzenie było tak silne, że powaliło go na ziemię. Obok spadła ucięta ręka. A jednak nie zdążył, przybył za późno. Pierwsze krople deszczu spadły mu twarz. Stracił przytomność.

W kominku tlił się mały płomień. Palenisko dogasało. Stary Yaun leżał w swoim łóżku. W pokoju panował półmrok. Nie spał, nie mógł spać. W głowie kłębiło mu się mnóstwo myśli. Jakiś głos kazał mu myśleć o synu. Kochał go, chociaż nigdy mu tego nie mówił. Był dumny z niego, ale i tego mu nie mówił. Nie wiedział, jak powiedzieć coś takiego. Teraz już mu tego nie powie – syn odszedł, musiał odejść. Staruszek dobrze o tym wiedział. To przez tę jego dziewczuchę, zawsze wszystko jest przez kobiety. Zakasłał, z ust pociekła mu krew. W głowie cisnęła się uparcie nieopisana obawa o syna, groziło mu niebezpieczeństwo. Zawsze to czuł gdy jego dzieciom coś zagrażało, szczególnie Youkiemu. Najmłodszy syn, ukochane dziecko jego zmarłej żony, odchodziło samo w nieznaną świat. Przez całe życie były z nim kłopoty. Znowu kaszel. Strach o syna ustępował miejsca uczuciu błogiego spokoju. Ostatnia myśl staruszka była pełna spokoju i otuchy. Youkiemu nic nie jest. W kominku zgasł

ostatni płomień – płomień ludzkiego życia. Na dworze zaczęło padać.

Frana znalazła i opatrzyła Henia. Rana szybko się goiła. Zawsze miał silny organizm. Z czasem przyzwyczał się do braku lewej ręki. Frani, pomimo jej prośb, nigdy nie powiedział co mu się przydarzyło. Nie chciał aby cierpiała. Nie powiedział też dokąd ruszył Youki. Sam nie wiedział. Gdy jego rany się zagoiły musiał opuścić osadę. Rulez nie dowiedział się o swoje pomyłce. Frana dochowała tajemnicy. Henio, tak jak jego przyjaciel, wyruszył sam. Miał cichą nadzieję, że znowu się z nim spotka. Tak, kiedyś ponownie staną do walki ze wspólnym wrogiem. Gdy będzie ku temu lepsza sposobność.

Youki obudził się w nocy. Lało. Prowizoryczny szałas nie chronił przed deszczem. Spakował manatki i ruszył dalej. I tak by nie zasnął. Podróżował już dość długo, kilka miesięcy, a jeszcze nigdzie się nie zdomowił. Las wychodził na jakąś polanę. Zza chmur było widać księżyc. Na polanie, w deszczu, stał siwy mężczyzna. Patrzył na Youkiego bystrym i mądrym wzrokiem. Jego głowa przyozdobiona była koroną liściastą, w rękę trzymał drewniane berło.

– Jestem Subciuran Leśny, pan tego lasu i mieszkających w nim stworzeń. Tyś jest Youki, syn starego Yauna, witamy cię tutaj.

– Panie, znalazł mego ojca? Jestem do twoich usług.

– Dobrze, mam nadzieję, że spodoba ci się w Dębowej Krainie.

Youki został zaprowadzony do wielkiej wsi w głębi lasu. Na centralnym placu osady stał wielki dąb, a wokół niego rozciągał się zamek starego władcy. Youki zdomowił się w jednym z zamkowych pokoi. Było mu dobrze. Wśród pałacowych przyjęć szybko zapomniał o dawnych problemach. Zdobył nowych przyjaciół, nowe kochanki, krótkie nieważne romanse, przelotne znajomości. Życie towarzyskie kwitło, a królewska para przychylnie na niego patrzyła. Szczególnie pani, Błękitna Hanea, darzyła go niezwykłą sympatią. Jednak Youki nie mógł siedzieć bezczynnie, zaciągnął się do gwardii królewskiej. Uczył się walki przeróżną bronią. Był obiecującym żołnierzem.

varcaby gra planszowa polegająca na kasowaniu pioneczków. Ulubiona gra wielu wartowników, podawana przez niepewne źródła jako dobry sposób na odwarzenie.

varchlak młody samiec świni.

varchol osoba wartownikowi niemiła.

varga fragment twarzy wartownika. Bywa wykorzystywana w niejasny sposób przy rytuałach powitania i pożegnania między osobami przeciwnej płci.

variacyjny rachunek *mat.* dział algebry vary, teoria invariantów w skończenie wymiarowych przestrzeniach Hilberta. Stosowany najczęściej przy obliczaniu różnych wartości oraz wykazywaniu czy varto w modelu Vardzyńskiego.

variant d. *ściema* wymówka wartownika, stosowana zwykle w przypadkach spóźnienia lub całkowitego nieprzyjścia w określone miejsce o określonym czasie.

variat osoba przesycona varą. Pierwszym variatem był legendarny dziś R. Ręczkowski, autor cenionej autobiografii "Długa warta".

varkocz rytualna fryzura w kulturze jednego z murzyńskich plemion południowej Afryki mająca odpędzać złego ducha vary. Obecnie stosowana bywa również większa ilość varkoczy (tzw. *zgredy*).

varkot odgłos wydawany przez varburga. Nadmierne natężenie varkotu uważane jest za gwarancję i stanowi podstawę do natychmiastowego oddania varburga do warsztatu.

varować aktywnie przyczyniać się do powstawania vary.

varownia d. *wieża* figura występująca w grze w szachy. Rozpoczyna grę z rogu szachownicy i wykonuje ruchy pionowe lub poziome. Próba wprowadzenia varowni w grze w varcaby nie powiodła się.

varstwy specjalne manewry bojowe wykonywane w walce przez kwartety.

Varszawa miasto w którym po raz pierwszy zaobserwowano varę. Opis tego zdarzenia można znaleźć m. in. w dziele J. Drypki "Moja vara – rozvarzania o tym czy varto czy nie varto". Również było to rodzinne miasto legendarnego wartownika oraz pierwszego variata R. Ręczkowskiego.

varszawiak mieszkaniec Warszawy.

Jutro ruszamy do północnej granicy, brzmiał rozkaz. Hordy dzikich górskich ludzi atakowały tamtejsze dziedziny lasu. Mały oddział miał powstrzymać napady. Youki był szczęśliwym wybrańcem. Zebrał manatki i pożegnał garstkę znajomych. Odwiedził też starą królową.

Wyruszyli. Dowodził stary Wolverin, niski, krzepki człowieczek o surowym wyglądzie. Oddział składał się z najlepszych wojowników. Musiało im się udać. Górskie bestie nie miały szans. Youki jednak nie był pewny zwycięstwa, nie znał tych istot. Wyruszyli...

* * *

Było ciężko. Górscy ludzie, wprawdzie bardzo prymitywni, stawiali niezwykle opór. Kilkunastoosobowe grupki tych bestii potrafiły rozgromić dwudziestu chłopca. Było ich mnóstwo, dobrze znali teren. Posiłki nie dotarły jeszcze do głównej bazy, pewnie nigdy nie dotrą, kurier najprawdopodobniej padł ofiarą potworów. Oddział powoli się wykruszał, nie mogli pozwolić sobie na stratę kolejnych ludzi. Wolverin wraz z kilkoma ludźmi ruszyli na patrol. Youki był z nim. Łało, ciągle łało. Szli w miarę blisko siebie. Koło Youkiego było dwóch zaufanych towarzyszy: topornik Misza, olbrzym o niebywałej sile i elf el'Toman, zwany Zającem, bo podobno umiał ustrzelić z łuku biegnącego zająca. Ufał im, byli przyjaciółmi i najlepszymi żołnierzami. Youki wyjął swój miecz. Górscy ludzie zaatakowali. Jakaś mała banda, a jednak ich otoczyli. Białe futra przemykały wśród drzew. Grad włóczni, ryk rannych, zgroza. Youki walił wszędzie gdzie widział biel. Wraz z Miszą osłaniali Zająca. Ten zaś szył strzałami jak znakomity krawiec. Wszędzie padały trupy. Wolverin wrzeszczał by uciekać na pustą przestrzeń, by nie zabijać swoich. Nikt go nie słuchał, strach był silniejszy. Urwany ryk dowódcy zamarł w powietrzu. Nie żył. Reszta powoli się wycofywała. Ponieśli kolejną klęskę z dzikimi ludźmi gór.

* * *

Z końcem zimy białe bestie zaczęły wracać w góry. Gdy ustąpił śnieg, przy północnej granicy nie było żadnego z nich. Youki i jego towarzysze wracali do stolicy. Byli bohaterami. Nie dlatego, że wygrali, bo nie wygrali. Byli bohaterami, ponieważ przeżyli. Niewielu było takich, którym się to udało. Youki, Misza i el'Toman wracali do domu.

* * *

Szaman zaczerpnął powietrza. Zimne i ostre, górskie. Wschodnie Wysokie Stoki sływały z takiego klimatu. Doskonałe miejsce, pełne potrzebnych ziół. Henio stanął obok szamana. W namiocie było zbyt duszno, ale tu czuło się podmuch zbliżającej się ulewy. Chłodny wiatr wiał od strony nizin. Ruszyli w poszukiwaniu potrzebnych składników. Chociaż w tym kalectwo mu nie przeszkadzało. Zresztą szaman też był kaleką – nie miał oka. Ale tylko tacy, niezdolni do walki, zostawali szamanami. Ten człowiek znalazł Henia tuż przed zimą w jakiejś jaskini jedzącego korzonki. Bez jego pomocy Henio pewnie by umarł. Teraz uczył Henia wszystkiego, co wiedział. Wszelakie mikstury lecznicze, preparaty poprawiające szybkość i wzrok. Wszystko, od zielarstwa do astronomii. Schodzili z boczem w kierunku rzeki. Henio niósł zebrane już zioła. Udawali się do namiotu na rozmowę z Duchem Ziemi.

* * *

Mniejszą bramą wybiegł koń z niecodziennym jeźdźcem. Krucze włosy dziewczyny rozwiane w morderczym galopie tworzyły długą pelerynę. Zapomniała ich związać. Jechała, aby zobaczyć powracającą armię. Armie przegranych bohaterów, ale mimo wszystko bohaterów. Tak bardzo chciała iść z nimi, była świetnym wojownikiem. Na pewno by się przydała. Tylko tatuś tak nie uważał. Niech ich szlag trafi, jeszcze pokaże, że umie o sobie dbać sama. Garstka żołnierzy nadszła północnym gościńcem. Zaledwie kilku z nich znała z dzieciństwa. Reszta była obca. Może dlatego, że długo nie było jej w domu, wróciła dwa dni przed wyruszeniem wojsk na północ. Wtedy nie zdążyła im się przyjrzeć. Teraz widziała ich dobrze. Jeden z pierwszych żołnierzy, chyba jakiś dowódca, spojrzał na nią. Ciarki przeszły jej po plecach. Widziała go wtedy, nie był wodzem. Teraz wywarł na niej olbrzymie wrażenie. Jechał dumny, majestatyczny, uśmiechał się do towarzyszy, ale jego oczy ciągle były smutne, obce, nieobecne. Przejechali obok niej. Spojrzał jej w oczy, krótko i niedbale, ale tak głęboko i wnikliwie, że odwróciła wzrok.

* * *

varsztat pomieszczenie służące jako miejsce naprawiania vartburgów. Zwykle polega to na zmniejszeniu produkowanego przez nie varkotu.

vart jednostka wartości, wprowadzony przez S. Strażnika gdy jego prototypowe urządzenie po raz pierwszy w historii zarejestrowało obecność vary. Na podstawie tego prototypu sporządzono wzorzec i do niego obecnie cechowane są urządzenia wartościujące.

varta, stać na varcie stan umysłu jednostki charakteryzujący się obecnością vary.

vartburg rodzaj pojazdu mechanicznego o napędzie spalinowym. W wielu cywilizowanych krajach wyszedł z użycia z powodu częstego występowania w nim awarie.

vartko powodując varę. Odnosi się do czynności wykonywanych w sposób, który prowadzi do awarii.

varto dosł. powodując varę, np. 'Nie varto tam iść' – 'Pójdźcie tam nie skończy się awarią!'

vartościować mierzyć wartość. Odnosi się zarówno do jakościowej oceny jak również do precyzyjnych pomiarów z użyciem specjalistycznej aparatury.

vartościowość chem. pojęcie określające zdolność danego pierwiastka do przyłączania vary.

vartość miara ilości vary. Przez specjalistów wprowadzona została jednostka wartości 1Vart (1Vt).

vartownik osoba stojąca na varcie. Niektórzy ignoranci nazywają tak również figurę w szachach rozpoczynającą grę obok varowni (wł. koń).

varunek kryterium pojawiania się vary w określonym miejscu lub u określonej jednostki bądź grupy.

Varyński Ludwik Tadeusz (1856-89) działacz i ideolog wczesnego polskiego ruchu vartowników. W 1882 twórca Proletariatu, w 1883 aresztowany i więziony w Cytadeli warszawskiej. W 1885 skazany w procesie o podważanie autorytetu władzy na 16 lat pracy w vartatach, gdzie zmarł. Podobizna jego przez długi czas zdobyła banknot o nominale 100 złotych, zwany również 100 vartych.

varystor techn. element elektryczny czuły na varę. Najczęściej wykorzystywany w pętli ujemnego sprzężenia zwrotnego w obwodach detekcyjnych (wartościujących) oraz

Przyjęcie urządzone na ich cześć wcale go nie bawiło. Uważał, że nie ma się z czego cieszyć. Nie umiał się skoncentrować, ciągle się rozglądał, szukając nie wiadomo czego. Miał chyba nadzieję, że znowu ją zobaczy. Tam na gościńcu stała taka pewna siebie, zaimponowała mu. I była niezwykle piękna, choć strój jeździecki zasłaniał jej walory, naprawdę była piękna. Do sali weszła królewska para. Koło Hanei szła właśnie ona, dziewczyna z gościńca. Długie czarne włosy miała związane teraz w kok. Ubrana w długą czarną suknię dumnie kroczyła przy swojej matce. Przyciągała i skupiała na sobie wzrok wszystkich zebranych. Nie mógł przestać na nią patrzeć. Zeszła po schodach i stanęła na środku sali. Rozbrzmiały pierwsze dźwięki melodii, orkiestra była naprawdę dobra. Taniec się zaczął. Nie było szans, by z nią zatańczył. Nawet jej nie znał.

Po kilku utworach instrumenty zamilkły, głos zabrał Subciuran:

– Zebrani goście, zebraliśmy się tutaj w określonym celu. Jak wiecie niedawno wrócili nasi żołnierze znaną północnej granicy. Bronili tam tamtejszej ludności przed śnieżnymi ludźmi. Wprawdzie nie udało się pokonać ostatecznie śniegowców, ale udało się ocalić nasze wsie i osady. Wróciła garstka z tych, którzy wyruszyli, a najbardziej zasłużonych pragniemy odznaczyć.

Ceremonia przebiegała dość sprawnie. Youki, el'Toman i Misza oraz kilku innych dostało medale, złote liście odwagi. Paru innych także wyróżniono i zabawa znowu się zaczęła. Teraz Youki miał szansę. Podszedł do niej i poprosił do tańca. Zgodziła się, instrumenty wydały z siebie spokojną melodię. Pod jego dotykem drgnęła.

– Nie mieliśmy jeszcze, mości rycerzu, przyjemności się poznać – zuchwale patrzyła mu w oczy.

– To prawda, nie dane nam było – wyszczerzył się Youki w zawadyjackim uśmiechu – Ale mam nadzieję, że da się to nadrobić.

– Jeśli tylko, waćpanku, zechcesz uchylić tajemnicy i powiesz swe imię – nie zamierzała mu ustąpić.

– Nazywam się Youki Pouki, syn Yauna, ostatni spadkobierca błękitnego ostrza.

– Ja jestem Zuzazin an' de Subinan. Dla przyjaciół Zuza. – powiedziała usatysfakcjonowana małym sukcesem.

Nie mogła przestać o nim myśleć. Nigdy wcześniej się tak nie czuła, zafascynował ją. Ostatnie dni były kompletnie nedorzeczne. Najpierw ten bal, potem spotkania w parku. Nie mogła sobie na coś takiego pozwolić. Czuła, że ulega dziwnemu, nieznanemu uczuciu. Chciała mu się poddać, aczkolwiek nadal się lękała, cały czas miała opory. Ale już nie długo... Musi odzyskać swoją niezależność, na powrót stać się dawną, opanowaną Zuzą. Pokaże temu kochasiowi, udowodni sobie i jemu.

Wyzwała go na wyścig konny. Przegrana z kobietą będzie wystarczającym upokorzeniem dla niego, odechce się mu amorów. Tylko czy i jej się odechce, i czy powstrzyma narastającą namiętność. Na to liczyła...

Pędziła jak szalona, Youki z trudem dotrzymywał jej kroku. Zastanawiał się tylko, co chciała tym osiągnąć. Jeśli chciała się zabawić jego kosztem to pewnie jej się nie uda. Nie da się wciągnąć w żadną gierkę.



Anyten Mlek numer 20 strona 25

bezpośrednio w urządzeniach wzmacniających i tłumiących.

varzny emanujący warą. Bywa, że osoba varzna wpływa znacząco na warę spotykanych ludzi i w takim przypadku konieczna jest kwarantanna.

varzyć zob. *drypić*.

varzywa grupa roślin hodowanych w specjalnych warunkach na folwarkach. Ze względu na dużą zawartość dochodzącą do 3kVt używane jako dodatek do wywarów lub jako pasza dla warchlaków. Według plotek przysmak varanów.

varzywniak sklep mający w swojej ofercie głównie varzywa.

wywar napój wywołujący warę. Pojęcie ogólne, jak dotąd nie udało się ustalić które konkretnie napoje rzeczywiście warę wywołują. Prawdopodobnie zależy to od okoliczności przyrody.

wywarzyć przemocą usunąć z drogi. Dawniej zwrot stosowany zwykle w odniesieniu do drzwi, obecnie do czegokolwiek, co powoduje warę.

zawartość miara wartości danej osoby lub przedmiotu, ilości znajdującej się w niej vary.

zdrypić zob. *zwarzyć*.

Zvardoń miejscowość, która przeszła do historii głównie za sprawą licznych wzmianek w dziele J. Drypki "Moja vara – rozwarzania o tym czy varto czy nie varto". Według nie sprawdzonych pogłosek tam właśnie autor poznał późniejszych wielkich teoretyków vary.

zvarcie awaria występująca często w varystorach jakiś czas po odłączeniu zasilania. Ze względów bezpieczeństwa trzyma się obecnie varystory w stanie niewarzkości w akwariach.

zvariować zostać przesyconym warą.

zwarzyć wykonać jakąś czynność z miernym skutkiem.

Dla osób szczególnie zainteresowanych dodaję spis literatury, która jest nieocenioną pomocą dla każdego, kto chce rzeczywiście poznać istotę vary.

Literatura

(w porządku alfabetycznym)

1. D. Alighieri, "Drypna komedia"
2. T. Dostojewski, "Zbrodnia i vara"
3. J. Drypko, "Moja vara – rozwarzania o tym czy varto, czy nie varto"



Po wyścigu poważnie porozmawia z tą rozpieszczoną pannicą. Tymczasem panna zaczęła mu uciekać. Popędził konia. Nagle Zuza tuż przed nim skręciła w wąską ścieżkę. Znał tą drogę, wiodła do zwałonego mostu. Co ta wariatka robi, będzie skakać? Youki był wściekły, przecież nie mógł się tak pomylić w ocenie księżniczki. Przyspieszył. Jego koń był wykończony, biegł resztką sił. Zza drzew ukazał się most. Youki w biegu chwycił lejce dziewczyny i zatrzymał oba konie. Mało brakowało.

– Co ty robisz? Chciałaś się zabić do jasnej cholery? Dobrze wiesz, że byś nie przeskoczyła – zrzęda jej mina, tak, uraził jej dumę.

– Ale przynajmniej nie stchórzyłam, jak ty. W ogóle nie masz pojęcia o zabawie. Po co mnie zatrzymałeś? Zajmij się sobą. – ona też trafiła, miał jej powiedzieć, że bał się o nią?

– Jeśli głupotę nazywasz odwagą, to jestem tchórzem. – podszedł do niej i patrzył prosto w jej piękne oczęta. Nie ustępowała mu w spojrzeniu.

– Nie dość, że jesteś tchórzem, to na dodatek ślepym i głupim. Inaczej dawno już byś zrobił to... – zbliżyła swoje usta do jego. Pocałowali się, zarzuciła mu ramiona na szyję, objął ją w tali. Nie powinni tego robić, oboje o tym wiedzieli.

* * *

Młody uczeń zabija starego, nieprzydatnego nauczyciela. Nowe zajmuje miejsce starego. Koniec jest początkiem, a początek końcem. Po to właśnie szamani szkolili swoich następców, by zajęli ich miejsce. Rytualna śmierć była swojego rodzaju hołdem dla szamana. Heniowi pozwolono uczestniczyć w pogrzebie. Potem musiał odejść. Nowy szaman go nie tolerował. Henio wyruszył w stronę wielkich lasów. Chciał odnaleźć

swojego przyjaciela Youki Pouka. Wziął ze sobą jednego Indianina, młodego wojownika przed inicjacją. Chłopak będzie ich bronił.

Zbliżali się do starej osady Henia. Po cichu zakradli się do niej. Zastali zgliszczą. Poza garstką wieśniaków nikogo nie było. Rulez ze swoją bandą zniszczył wszystko. Prawdopodobnie tajemnica wyszła na jaw. Rulez stał się przywódcą wielkiej bandy i wyruszył w stronę gór. Tam jest jego królestwo.

Henio ruszył dalej. Przez dwa tygodnie marszu przez puszcę nikogo nie spotkali. Dopiero gdy dotarli do rzeki w głębi lasu zobaczyli kobietę. Prawie naga, bez piersi, brudna i dzika. Przyglądała im się z daleka. Gdy Henio chciał się zbliżyć, warczała. Rzucili jej kawał mięsa. Obwąchawszy go wpierw, zaczęła jeść. Podeszli bliżej. Tym razem nie szczekała. Jej twarz była oszpecona. Pewnie kiedyś pobita, miała połamane kości, które źle się zrosły. Zachowywała się jak zwierzę. Upodlona, straciła rozum w wyniku okrutnych przeżyć. Umyli ją, uczesali i nakarmili. Przypominała Heniowi kogoś. Tak, to była ona – Frania. W jej oczach było widać resztki człowieczeństwa. Rulez, to jego wina. Patrzyła coraz bardziej przyjaźnie. Na jej ciele Henio zauważył blizny po pazurach. Pewnie nie raz walczyła z dzikimi zwierzętami. Jedna rana była zaogniona, wdała się gangrena. Henio opatrzył ją, jednak nie dawał jej wiele szans. Zostali z nią kilka dni. W ciągu tego czasu całkowicie się oswoiła. Chyba go pamiętała. Jednak nic nie mówiła, jak się potem okazało, nie miała języka. Stan zdrowia pogarszał się. Nic już nie można było zrobić. Henio podał Frani środek silnie trujący. Zmarła po kilku minutach, przynajmniej się nie męczyła. Usypali jej prowizoryczną mogiłę...

4. Homer, "Variada", "Vardyseja"
5. M. Kopernik, "O obrotach vary"
6. A. Mickiewicz, "Oda do vary", "Pan Drypko"
7. F. Nietzsche, "Tako rzecze Varatustra"
8. A. A. Milne, "Kubuś vartownik", "Chatka vartownika"
9. B. Prus, "Varaon"
10. R. Ręczkowski, "Długa varta"
11. H. Sienkiewicz, "Varą i mieczem", "Vartownicy"
12. J. Słowacki, "Vardian", "Varradyna"
13. S. Strażnik, "Teoria vary w zada niach"
14. P. Traq, "Wstęp do teorii pola vary"

Chleb z rodzynkami

Tereska Szczepińska

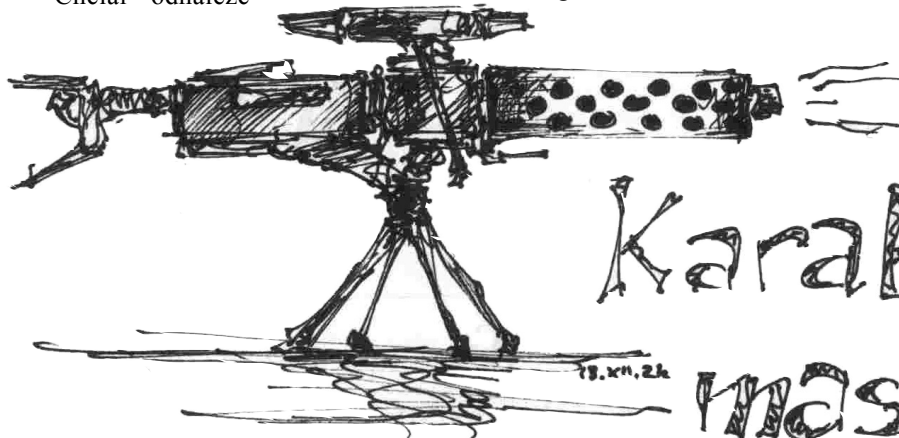
Chleb z rodzynkami, twarogiem ze szczypiorkiem, kielbasą i ketchupem.

Nie jest taki zły, właśnie go jem smak ma słodko-kwaśny konsystencję pierzasto-gąbczastą i gdy skórki kielbasy przez zęby przeciskają się czuć, że to mięcho nie obce człowiekowi jest. Grudki serka charakterystycznie pieszczą podniebienie, szczypior jak żaba zielony, na zawsze już, między zębami pozostać chce i wie, że nie szybko choć z moją wyraźną pomocą stamtąd wydostanie się.

Kończę już, bo chleba w ręce coraz mniej, a wiem, że nie prędko jeszcze jedną taką kanapkę zjem.

P.S.

Nie biorę całkowitej odpowiedzialności za powyższy tekst, ponieważ był pisany pod wpływem spożywanej kanapki, a jej wpływ na mój organizm nie do końca jest zbadany.



Karabin
maszynowy



2001 czyli ostatni na świecie dramat napisany w zeszłym Rysiek Kostecki

tyśiącleciu a jednocześnie pierwszy na świecie dramat
napisany w obecnym tyśiącleciu

PROLOG

GŻEGOŹ: Kopać leżącego to niehonorowo, ale bezpiecznie.
LENIN 95: Chyba, że kopiesz nagą duszę, towarzyszu.
GŻEGOŹ: Wprawdzie nie jestem pruderjny, ale rozebrane dusze (w odróżnieniu od ciał) napawają mnie wstrętem, zwłaszcza gdy są włochate.
LENIN 95: Rozumiem, towarzyszu.

AKT I

GŻEGOŹ: (*wściekły, wchodzi na scenę z młotkiem*) Przecież mówiłem, że nie lubię golizny!
AUTOR: Przepraszam, towarzyszu. (*niestety... na Gżegoża spadła kurtyna, łamiąc mu kręgosłup. Pogrzeb w sobotę o 12.00. Psy prosimy wprowadzać na smyczy*)

AKT II

BRUEGHEL: ... (*maluje "Pojedynek karnawału z postem"*)
TAJWAŃSKI ROLNIK: ... (*orze ziemię w błocie, a nicienie (które, jak wiadomo, należą do obleńców) przebijają mu się przez skórę do krwiobiegu...*)
NEWTON: ... (*dostał w łeb wysokocukrowym produktem spożywczym pochodzenia roślinnego o kształcie zbliżonym do kulistego i teraz ma guza*)
JULIUSZ CEZAR: ... (*ćwiczy lapidarność stylu*)

AKT III

(*Głębiny Sedesu... ehm... przepraszam... Hadesu... (znowuście kartki pomylili! Nie widzicie, że program idzie na żywo?!)*)

BEN ZEN: 137, 137, 137...
MICKIEWICZ: 44, 44, 44...
BEN ZEN: 137!
MICKIEWICZ: 44!
BEN ZEN: 137!!!
MICKIEWICZ: 44!!!
OBYDWAJ: Pif! Paf!
BEN ZEN: 138, 138, 138...
LENIN 95: Ależ towarzyszu, co towarzyszu?...

AKT IV

(*fabryka żelazek*)
KONRAD: Daj mi rząd dusz!
HENIO: (*podaje mu rząd dusz*) Masz!
KONRAD: Oh!
HENIO: Hoh?!
KONRAD: O!
OBYDWAJ: Hoh-O!
CHOCHOŁ: (*wbiega na scenę*)
Kto mnie wołał? Czego chciał?
(*z Chochoła wychodzi Witkacy, po czym wiesz się na sznurze, jednocześnie strzelając sobie w głowę. Na podłogę spadają krople krwi... Wtem kropelki te zlewają się w jedną kałużę. Z kałuży wyrasta Wyspiański, który biegnie na wesele swojej prawnuczki...*)
SIUDYM: Czyśta powariowali?!

AKT V

MAGDA: (*śpiewa znaną piosenkę ludową (autorstwa pewnych kobietów (dawno dawno temu, bo w zeszłym tyśiącleciu)) na rytm marsza albo i nie*)
Siedziałem pod mostem
Nie miałem co jeść
Poszedłem do sklepu
Kupiłem chleb
Chleb był niedobry
Bo kokosowy
A potem był tylko bełt...
CHORUS:
Zabetałem się na śmierć
Nie zostało po mnie nic
Pochowali mnie pod mostem
Tam, gdzie zawsze chciałem żyć
SUBCIOR: Eeeee?... Heeee!...

AKT VI

REKLAMA: Guma orbit dla dzieci bez cukru.
DZIECKO Z CUKREM: Poprofe!
REKLAMA: Za mało!
DZIECKO Z CUKREM: Poprofe!
REKLAMA: Za mało!
DZIECKO Z CUKREM: Mama! On mi zablał i nie da!
REKLAMA: To ja przepraszam.

AKT VII

RULEZ: Konstanytopolitańczykowi-

Opowieść dla Basi

Zuzia Pacholczyk

Człowiek jest fikcją. Istnieje tylko gołąb, krążący gdzieś ponad lasem ludzkich myśli, mącący spokój wspomnień. I czasami coś nagle uderza jasnością w przestraszone słońce codzienności. Wtedy wrażenia wypełniają ciszę, tworzy się jakiś nieokreślony korytarz, połączenie między wtedy i teraz, jakby wszystko było tym samym kołem, toczącą się z łoskotem kulą zamkniętą w niewzruszonym oku gołębia. A później gołąb wchodzi do opowieści, tak jak teraz, wszystkie korytarze prowadzą w kierunku światła, któryś podrywa się do lotu i trzepot skrzydeł zagusza wnioski nieśmiało pukające do door of mind. Potem tylko cisza, obłoki nad lasem, znowu zawirowania, krążące gołębie i od początku, tak jak wszystko. Czasami tęsknota, zmija sunąca wśród wysokich traw i kiedyś, w końcu, szczęście, bo trzeba je znaleźć i znajdujemy je wszędzie, gdzie nieświadomi, szczęśliwi, my – ludzie.

Fikcja.

niecza jest cienka w talii siedemset-siedemdziesięciosiedmiokartowej.

TŁUM: Jaki on mądry!

RULEZ: Płynność beztrojski ezoterycznej jest infityzomalnie zaniebdywalna w koegzystencji cywilizacji.

TŁUM: Jaki on roztropany!

RULEZ: Apsik!

TŁUM: Brawo, geniuszu!

MARTIN LUTER (KING): Miałem sen...

TŁUM: I co?

MARTIN LUTER (KING):

...i się obudziłem.

TŁUM: (*wygwizduje go*) Eeee....

MARCIN LUTER (NIE KING):

Miałem sen...

TŁUM: I co?

MARCIN LUTER (NIE KING):

No i zakładał zespół: "Doors 95".

BILL GATES: "Windows 95"!

TŁUM: Jestem podzielony.

GAUSS: Przez ile?

TŁUM: (*pali go na stosie*)

GALILEUSZ: Uważam inaczej!

TŁUM: (*też go pali, na tym samym stosie*)

GŁOS: (*wśród trzasku płonących drewn i skóry... dochodzi jakby z wnętrza stosu...*) ...towarzysze...

AKT VIII

BRUEGHEL: ... (dalej maluje "Pojedynek karnawału z postem")
TAJWAŃSKI ROLNIK: ... (dalej orze ziemię w błocie, a nicienie (które, jak wiadomo, wciąż należą do obleńców) nadal przebijają mu się przez skórę do krwiobiegu...)
NEWTON: ... (podrapał się po głowie i wymyślił rachunek różniczkowy)
JULIUSZ CEZAR: ... (dalej ćwiczy lapidarność stylu)

AKT IX

BAKA:
 Azali nie wiesz,
 Że śmierć jest jak jeź?
 Strzeż się, biedaku,
 Satanistycznych Ślimaków!
SATANISTYCZNE ŚLIMAKI:
 Zbliżamy się!
ŻYRAFA PUNK: Szit!
SZIT: Co?
ŻYRAFA PUNK: Jajco!
SZIT: No.
SATANISTYCZNE ŚLIMAKI:
 Nie to nie. Łaski bez.

AKT X

(Biały Dom, Washington)
SZEF DEPARTAMENTU D/S OBRONY USA: Właśnie zakończyliśmy opracowanie nowego typu rakiet samonaprowadzających. Potrzebujemy małego konfliktu dla przeprowadzenia testów bojowych.
CLINTON: (bierze do ręki globus, zamyka oczy, kręci globusem i na chybił trafił zatrzymuje globus palcem) Serbia!
SZEF DEPART. D/S POLITYKI ZAGRANICZNEJ USA: Rozumiem.
SZEF DEPART. D/S PROPAGANDY W PAŃSTWACH UZALEŻNIANYCH GOSPODARCZO OD USA: Rozumiem.
SZEF DEPART. D/S OBRONY USA: Jak zwykle, trafny wybór, Billy.
SZEF DEPART. D/S GOSPODARKI USA: Lubię wierszyk ten (mówię go co dzień):
 "Najpierw ich gospodarki bombardowanie,
 A potem im gospodarki sprzedawanie"
SATANISTYCZNE ŚLIMAKI:
 Jesteśmy tu!
PIESEK LAFIK: Ja też, ale chce mi się siku.

AKT XI

ŚWIĘTY MIKOŁAJ:
 Santa Claus is coming to town
 Santa Claus is coming to town
 But if you were ugly or bad
 Santa Claus will cut your head!
BEN ZEN: 138, 138... Hello, Santa!... 139, 139...
PÓLGŁOWEK: Czy ty jest cykliczny, czyś aromatyczny, mój ty sentymentalny kochanku prześlizny?
BEN ZEN: (bez wahania) 139.5, 139.5, 139.5...
INGEBORGA: Bez przesady, monsieur! Mógłbyś zaprzestać już tej bezsensownej postmodernistycznej bełkotliwej rzezi!
BEN ZEN: Hmm... Mówisz mądrze... 189.5, 189.5, 189.5...
KOMPUTER: Gratulacje! pobiłeś rekord gry! Możesz się zatem wpisać do tablicy highscore!
BEN ZEN: (wpisuje) Rene Sans
KOMPUTER: (nagle) Program "Życie" wykonał niedozwoloną operację i zostanie zamknięty. Naciśnij cokolwiek, aby kontynuować.
BEN ZEN: (naciska na spust)

SATANISTYCZNE ŚLIMAKI:
 1957221452419,
 1957221452419,
 1957221452419...
NOWOTKO:
 Mam nowotwór!
SATANISTYCZNE ŚLIMAKI:
 1957221452420,
 1957221452420,
 1957221452420...

AKT XII

ŚWIATOWID: A ku ku!
LENIN 95: Wróciłem właśnie z podróży po Chinach. To bardzo interesujące, towarzysze...

AKT XIII

BRUEGHEL: ... (jak gdyby nigdy nic wciąż maluje "Pojedynek karnawału z postem")

TAJWAŃSKI ROLNIK: ... (jak gdyby nigdy nic wciąż orze ziemię w błocie, a nicienie, jak gdyby nigdy nic, wciąż przebijają mu się przez skórę do krwiobiegu...)
NEWTON: ... (urządza czarną mszę)
REJ: ... (pisze "Krótką rozprawę...", po czym, aby ukryć się przed zwolennikami ustroju feudalnego, dodaje sobie do nazwiska "Mont" i pisze rozprawę naukową "Who π?")

AKT XIV

AKT XIV: Dobra, przyznaję się. Jestem aktem męskim. Na imię mam Ludwik.
DOSIA: A ja kosztuję tylko złoty dwadzieścia. Może zawrzemy bliższą znajomość?
LUDWIK XIV: Z przyjemnością.
LENIN 95: I żyli, towarzysze, długo i szczęśliwie...



AKT XV

CZŁOWIEK Z ŻELAZA:

Takie nudy, że rdzewieję!

CZŁOWIEK Z MARMURU: A ja nie.

CZŁOWIEK Z LASU: He???

WILK Z LASU: W dzisiejszych czasach wilk wilkowi człowiekiem.

KACZMARSKI: Amen.

LENIN 95: Ależ towarzyszu, co towarzyszy?...

AKT XVI

WANIA NA TRAKTORZE: Traktory zdobędą wiosnę!

KOMBAJN BIZON: Moja rola to rola.

WANIA: Oto chłopska dola!

BIZON: Od pola do pola.

WANIA: Chyba, że przyjdzie Ola.

BIZON: A wtedy z pola...

WANIA: Właśnie. Oto, jak w dzisiejszych czasach technika wspólnie rozumie potrzeby człowieka!...

BIZON: ...ale człowiek nie rozumie potrzeb techniki! Buuuu! Ja też chcę Bizonównę, Bizonczycę, czy jak tam się samica traktora zwie!

WANIA: Dobrze. Jeżeli tylko grzecznie poprosisz, otrzymasz samicę traktora.

BIZON: Poproszę.

WANIA: Już się robi. (*Ustawia samego Mercedesa Trucka na torach kolei Berlin-Moskwa*)

BIZON: Dziękuję. Jesteś kochany.

WANIA: Ano. Przez Olę.

LENIN 95: Хорошо сказано, ну помни Ваниа: доверяй, но проверяй! Товарищ...

AKT XVII

AUTOR:

Behawioryzm i sarmatyzm (aF)
 Dominują w moich myślach (CG)
 Jest mi przez to ciężko przetrwać
 W dżungli dzisiejszego świata
 Nie wiem co mam z sobą zrobić
 Chyba pójdę do lekarza
 Wezmę jakieś prochy na noc
 I przestanę się rozmnażać

CHORUS:

Uuu – śpiewają ryby (daCE)
 Uuu – śpiewają grzyby
 Uuu – nie bądźmy smutni
 Uuu – bo krótko żyjemy

MUHI: Bzzzzzzz...

KARA LUHI: Trszsz trszsz trszsz...

OQLISTA: Mam ostre spojrzenie na sprawy świata...

CHIRURG: A ja sięgam gdzie wzrok

nie sięga.

OQLISTA: Za górami, za lasami...

HAMLET: Jechał pociąg ze smerfami.

MUHI: Bzzzzzzz...

KARA LUHI: Trszsz trszsz trszsz...

CHIRURG: (*patetycznie*) Ale pociąg się wykoleił i znowu miałem PEŁNE RĘCE roboty.

ROBOTY: Uwaga! Roboty na wysokościach!

ANIOL STRÓŻ: A na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

LENIN 95: Amen.

KACZMARSKI: Ależ towarzyszu, co towarzyszy?...

AKT XVIII

CHRÓMKF: Azali nieprawdaż?

STRÓNTF: Jak bowiem bynajmniej!

CHRÓMKF: Ach, a gdybyż tak pchnąć w tę łódź jeża lub ośm skrzyń fig?

STRÓNTF: Zdyssypowałyby się wnet niebawem.

CHRÓMKF: Kłam mi zadajesz?!

STRÓNTF: Jak bowiem bynajmniej!

CHRÓMKF: Leż! Dość późnych kłamstw! Rąb fuzję! Giń!

(*strzela do STRÓNTFA z przenośnego miotacza kolków osikowych*)

STRÓNTF: Giń też!

(*strzela do CHRÓMKFA z przenośnego miotacza węgorzy elektrycznych pod napięciem 10000V. [=== Tylko u nas najświeższe dostawy węgorzy elektrycznych!*

Wszystkie modele, wszystkie rozmiary, wszystkie napięcia! Zadzwoń już dziś pod numer 0-700-137-045, albo odwiedź kogoś z naszych licencjonowanych dealerów na terenie całego kraju! ===])

CHRÓMKF & STRÓNTF: Właśnie wyzionęliśmy ducha.

DUCH: Potwierdzam ich zeznania, Wysoki Sądzie.

WYSOKI SĄD: Zarządzam przerwę.

ŚREDNI SĄD: Zarządzam przerwę.

NISKI SĄD: Zarządzam przerwę.

HAMLET: (*wpada na scenę z siekierą*) Przerwa na Whiskas!

WYSOKI SĄD: Proszę ducha, niech duch chucha, bo zaraz wyzionę ducha.

Milczenie

Piotrek Witek

Tego dnia szatan postanowił pójść na spacer. Wyszedł z piekła, zamykając za sobą drzwi. Poszedł na łąkę. Spojrzał pod swoje stopy i zobaczył, że uśmiecha się do niego stokrotka. Rozdeptał ją swoim głanem. Podniósł głowę i zobaczył, że inne stokrotki przestały się uśmiechać i stuliły płatki. Ale nadal nie było mu dobrze. Ponad nim śpiewały ptaki, uśmiechając się do niego z góry. Rzucił w nie kamieniem. Ptaki odleciały. Lecz szatanowi nie było lepiej. Poszedł więc nad staw. Ale tam zobaczył, że spod wody uśmiecha się do niego mała rybka. Wyjął ją z wody i zaniósł daleko od brzegu. Wrócił i zobaczył, że inne rybki odpłynęły. Lecz nie zrobiło mu się od tego lepiej. Popatrzył na wodę i zobaczył swoje odbicie. Zmącił wodę. Żałował, że w ogóle wyszedł z domu. Poszedł więc do miasta. A tam ludzie się spieszyli, spóźniali, kłócili, rozchodzili, zapominali. Szatan szedł przez miasto i cieszył się. Pod pubem stał smutny anioł, więc szatan zaprosił go na piwo.

DUCH: Chuch!

HAMLET: Na mnie to nie działa, bowiem nie mam ciała! Jam jest TAUTOLOGICZNY! X OR NOT X! Siekierzadaaaaaaa! (*zarzyna wszystkich i sam ginie*)

STACHURA: W geście sprzeciwu wobec nieetycznego i niezgodnego z prawem wykorzystania przez pana Hamleta Duńskiego moich pomysłów... popełniam samobójstwo. Żegnam. Acha! I jeszcze jedno: Odpędźcie czarne myśli, dość już waszych łez! (*popelnia samobójstwo*)

TŁUM: Bravo! Podziwiamy go! (*bije brawo*)

GRECHUTA: (*jak zwykle pijany*) Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy... (*pije*)

TŁUM: Bravo! Podziwiamy go! (*bije brawo*)

KACZMARSKI: (*jak zwykle pijany*) Żyjemy! Dobra nasza! (*pije*)

TŁUM: Bravo! Podziwiamy go! (*bije brawo*)

WYSOCKI: (*już upity, wchodzi na scenę, pociąga z butelki, patrzy wokół błędnym wzrokiem, pociąga jeszcze jednego łyka, po czym upada na scenę i umiera z przepicia*)

TŁUM: Bravo! Bravo! Bravissimo!

WITKACY: (*jak zwykle wziął coś co ma długi wzór strukturalny i skom-*



plikowaną nazwę) A jednak dobrze jest, wszystko jest dobrze. Co? – Może nie? Dobrze jest, psiakrew, a kto powie że nie, to go w mordę! *(popelnia samobójstwo)*

TLUM: *(szaleje z zachwytu i stawia mu pomnik)*

KURT COBAIN: *(popelnia samobójstwo w wieku 27 lat)*

JIM MORRISON: *(popelnia samobójstwo w wieku 27 lat)*

JIMI HENDRIX: *(popelnia samobójstwo w wieku 27 lat)*

JANIS JOPLIN: *(popelnia samobójstwo w wieku 27 lat)*

TLUM: *(kupuje ubrania z ich podobiznami, kupuje ich nagrania, kupuje książki o nich, ogląda filmy o nich, no i oczywiście zjeżdża się na ich grób by się naćpać i kopulować)*

LENIN 95: To ja przepraszam, towarzysze.

OSTATNI TEMPLARIUSZ: Nie dziwcie się więc, że przekląłem potomnych.

MIETEK THE ŻUL: Ypp! Zenek! Nalej jeszcze!

PROFESOR: Nie zgadzam się z opinią mojego przedmówcy. Otóż...

TLUM: *(wygwizduje go)*

SATANISTYCZNE ŚLIMAKI: Jesteśmy tu!

(zapada ciemność i cisza. Nagle na jednym z brzegów sceny pojawia się dziwna postać ze świeczką i ikoną...)

IWAN BEZDOMNY: Massaraksz!

AKT XIX

KAZIMIERZ PRZERWA-

-TETMAJER: Jakaż jest przeciw włócznie złego twoja tarcza, człowiecze z końca wieku?

MŁODZIEŻ Z IX LO: Hm?

CZŁOWIEK Z KOŃCA WIEKU: Pieniądze, pieniądze, pieniądze!

MŁODZIEŻ Z IX LO: Hm?

INNY CZŁOWIEK: Wódka! wódka! wódka!

CHOPIN: Gdybym żył, to bym pił.

MŁODZIEŻ Z IX LO: Hm?

JESZCZE INNY CZŁOWIEK *(chyba z Afryki):* My nie mamy takich problemów, bo codziennie pragniemy tylko dożyć jutra.

MŁODZIEŻ Z IX LO: *(nie usłyszała)*

BILL GATES: Afryka? To słaby rynek. Za ciepło – nie mają w domach OKIEN.

MŁODZIEŻ Z IX LO: Hm?

VOLAPŮK: Erzac.

AKT XX

WIEK XX: Chce mi się siku!

FOREST GUMP: A miał być lepszy ten nasz XX wiek...

AUTOR: Nie oczekuj po mnie, że napiszę coś mądrego o czwartej nad ranem pierwszego dnia nowego tysiąclecia.

FOREST GUMP: Czwarta nad ranem...

SDM: Copyright!

URZĄD SKARBOWY: Hm?

SZYMBORSKA: Copyright!

URZĄD SKARBOWY: Hm? Hm?

LENIN 95: Jeszcze tylko trochę, towarzysze...

AKT XXI

(w rytmach Dance Macabre, czyli Disco Polo)

ILLEGAL: Język polski jest bardzo ubogi, szczególnie w określenia dotyczące koloru duszy, na jaki zabarwia ją obryz-gany krwią flak z mięśni, drgający w rytm muzyki życia niczym jak w agonii...

HAL 9001: Chyba nie rozumiem was, ludzie. Wasz Titanic tonie, a wy?...
Tańczycie! = I DO NOT UNDER-
STAND = I DO NOT UNDER-
STAND = I DO NOT UNDER-
STAND = I DO NOT UNDER-
STAND = I DO NOT UNDE...

WINDOWS 95: General Protection Fault. System Halted. You Have No Chances. Game Over.

BILL GATES: ...że co?... system zawiesił się i sam odpalił rakiety?... termojądrowe?!... przepraszam, ale następna wers...wers... wers... O MÓJ BOŻEEEEEEEE!!!

LENIN 95: Widziałem, słyszałem, byłem. Stara Rewolucja umarła. Przyznaję się – popełniłem błąd. Wierzyłem w ludzi, wierzyłem w idee. Błędne założenia. Ale jednak nie umarłem – wiele podróżowałem przez te lata, wiele zrozumiałem. Zmieniłem się. Nie będę już zmieniał świata. Od dziś me imię to LENIN 2001.

Do zobaczenia, towarzysze.

KONIEC

(pisane od 23 w nocy 31 grudnia 2000 do 4 nad ranem 1 stycznia 2001)

Miasto

Ola Talarska

Miasto,
Po którym cicho błądzę.
Ulica pociemniała.
Ludzie stracili swe cienie.
Przesmyk zimnego powietrza
Rozdziela betonowe płyty.
Nigdy tu nie spadają gwiazdy,
Za to ludzkie pragnienia
Z mokrych, otwartych okiennic.
Każdego poranka
Ta sama twarz mijana na chodniku.
Szybkie kroki,
Jednorazowy uśmiech.
Słyszę rozmarzony w deszczu oddech.
To muzyka tej nocy.

Kaluże

Tsukinoshi

Mokre ulice

To zupełnie tak jakbym
Stapał po niebie

* * *

Czemu gdy gdzieś dążymy
Musimy, najpierw zdeptać
Scieżkę, która tam wiedzie

* * *

Tańczy w chmurach
Sześć stalowych żurawi
Łatają niebo

O naturze pyłu który znika

Ania Galuhn

To z zegara wylatują ćmy
każdej nocy Widziałam
One myślały że już śpię
a ja miałam tylko zamknięte
powieki Ćmy są kolorowe
i gdy lecą pozostawiają w tyle
pasma barwnego pyłu
Ten pył potem znika Długo
myślałam jak to możliwe
tak po prostu zniknąć
i nie być Gdy już poddałam się
i pogodziłam w końcu my też
znikamy bez śladu nawet górką
ziemi zostaje zdeptana
Zobaczyłam że pył ten
ucieka przez okno



Krfawa niedziela

alias *Synthesis de Belts-Saint KloceX*, *Nieocenzurowany** *Dramat w Jednym Akcie, na Wszelki Wypadek Anonimowy**
Piotrek Witek

PRZYGOTOWANIE

czyli DZIADÓW CZĘŚCI III SŁAWOJKA

Toaleta kościelna, kilku MINISTRANTÓW, każdy ze szczoteczką do zębów. Śpiewają na znaną melodię:

MINISTRANT 1: Do ministrantów wstąpić chciałem,
The HŪR: Bo zawsze sracze szorowałem.
MINISTRANT 2: Aby na kłopie mogła spocząć dupa,
The HŪR: W końcu to kibel jest biskupa.

PROLOG

Scena, przed sceną gwizdzący i wyjący tłum CZYTELNIKÓW. Na scenie, w otoczeniu pomidorów, butów, jajek i czego popadnie stoi AUTOR.

AUTOR: Witajcie, wierni fani i kochane wielbicielki!
CZYTELNICY: WAL SIĘ NA RYJ, CIECIU!
AUTOR: A więc wszyscy chcecie poznać moje nowe dzieło?!
CZYTELNICY: NIEEEE!!!
POLONISTKA: Zdań nie zaczyna się od "A więc".
AUTOR: No więc cieszę się, że zgromadziliście się tutaj tak licznie!
CZYTELNICY: (*wychodzą*)
AUTOR: Tedy zaczynamy. Graj, muzyko! (*nic się nie dzieje, MUZYCY odeszli razem z CZYTELNIKAMI*)
AUTOR: Nic was nie uratuje! I tak wam je zaprezentuje!
NIEDOBITKI CZYTELNIKÓW: OH, GOD!
GŁOS Z NIEBIOS: (*przy akompaniamencie chórów anielskich*) OH, SHIT!



SCENA PIERWSZA i OSTATNIA

Kościół, w nim zgromadzeni WIERNI, przy oltarzu głosi Słowo Swoje KSIĄDZ TADEUSZ.

ANONIM: Nie czyńcie z domu Ojca mego targowiska!
WIERNI: Zamknij się, frajerze, bo w ryj! My tu się, k***a, modlimy!
The HŪR: Amen!
ŁAWA PATRIOTÓW: POLSKA, BIAŁO-CZERWONI!
WIERNI: LEGIA!
SAMOBÓJCA: WIDZEW!
SATANISTYCZNE ŚLIMAKI: AVE!
BISKUP TADEUSZ: IN NOMINE PATRI ET FILII ET SPIRITUS 40% SANCTUS! (*Rozdeptuje SATANISTYCZNE ŚLIMAKI; krew i flaki zalewają WIERNYCH*)
WIERNI: Bul, bul...
Resztki SATANISTYCZNYCH ŚLIMAKÓW: To żul, to żul...
ŁAWA PATRIOTÓW: A to Polska właśnie...
The HŪR: Ale z tym Świętym Spirytusem to było niezłe!

EPILOG

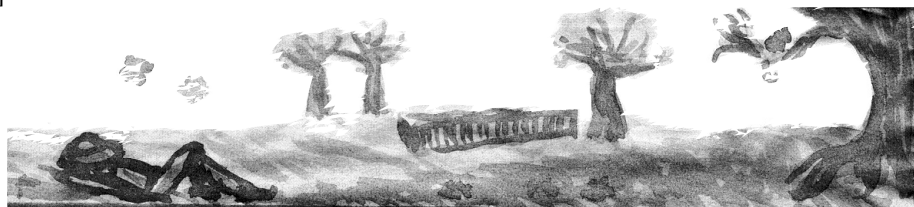
AUTOR: No i jak wam się podobało?
CZYTELNICY: (*milczą, bo ich nie ma*)
ŁAWA PATRIOTÓW: Zdrajca! Zdrajca! Po trzykroć zdrajca!
POLONISTKA: A co poeta chciał przez to wyrazić?
The HŪR: Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!
OCHRONIARZE: Za co?
The HŪR: За ящо!
ARCYBISKUP TADEUSZ: (*ukazując się AUTOROWI*) ALPAGE SCHMATANAS!
AUTOR: Toruniae, vicisti! (*stacza się w objęcia OCHRONIARZA i umiera*)

Fin dé siecle

*[tylko w zamierzeniu autora – przyp. red.]

Coś

Konrad Grochowski



Wsercu obumarłej duszy, wśród kleistej mazi myśli, zapłonęła iskra. Ciało nie potrafiło zinterpretować bijącego od niej ciepła. W końcu, gdy całe wnętrze smolistej cieczy zapłonęło, umysł pojał. To była idea. Ogrzewała ciało od wnętrza, dała mu energię jakiej jeszcze nigdy nie czuł. Mógł dokonać wszystkiego o czym tylko marzył. Jednak jemu starczyło tylko rozkoszowanie się swoją siłą. I stał tak naprzeciw wrót do szczęścia, a w jego szklistych, rozmarzonych oczach odbijał się wesoły płomień. Potem żar. A na koniec zostały tylko szkliste oczy. Z chwilą gdy ostatnia myśl zgasła, on zgasł także. Jego szansa wyparowała jak płomień zdmuchniętej świeczki. Został tylko swąd przegranej. Ale on go nie czuł. Spłonął cały. Stała tam tylko niema forma po człowieku, dzień w dzień wypełniająca harmonogram: wstać, jeść, spać. I będzie tam tak stała, dopóki ostatni kornik się nią nie naje.

Opowieść o rycerzu bez skazy

końcu życia szczęśliwego i innych wynaturzeniach autora

Krzysiek Miernik (Pan Mierniczy)

Zycie dla Intatsa nigdy nie było łatwe. Stanowczo go nie rozpieszczą, ale do tego można się przyzwyczaić. A teraz przekłete fatum przynosiło mu coś jeszcze innego. Takie przemiany, burzenie starego porządku jest najgorsze. Niby nic się nie dzieje, wszystko jest tak jak dawniej, proste, nieskomplikowane i czarno-białe, ale gdzieś na dnie jestestwa coś się wali i burzy jakby zjadane przez próchnicę. Robactwo toczy duszę człowieka by wyleźć na powierzchnię, przebić ostatni bastion obrony, połknąć jak rak najmniejszy kawałek sensu. Następnie choroba niszczy twoją zewnętrzną, skóra zaczyna gnić, a ty, choć jesteś wrakiem od dawna, tracisz kontakt z rzeczywistością i już nawet nie masz siły udawać normalności, to jest: ślepoty, głuchoty, znieczulicy, degrengolady i skrajnej głupoty. Kończysz marnie, ostatni człowieku, pogrążasz się w szaleństwie, ale nie tym zdrowym, pierwotnym i czystym toczącym świat od zarania. O nie, twoje szaleństwo należy do ciemnych i ponurych – szaleństwa geniuszu, bólu i braku. A najbardziej tego ostatniego – braku. Czego? Czegokolwiek. Nawet pierwsza diagnoza była błędna. W twojej duszy nie zachodzi proces gnilny, wręcz przeciwnie – ona się budzi. Ech, ironio losu, która powiązałaś "budzenie się" i "rozkwitanie" z tak pozytywnymi skojarzeniami. Wiosna, słońce, zieleń. Śmierć, krzyczę, przekłetej porze roku, najbardziej kłamliwej ze wszystkich. I tak jak zawsze dobrze się zaczyna, bo to ona pokazuje nam wszystkie brudy i kłamstwa niewinnej, białej siostry swojej, lecz porzuca zaraz ideały by zanurzyć się w hipokryzji. Jeszcze większej, bo nie będącej tylko przykrywką, zasłoną. Ta hipokryzja sięga dna – przenika wszystko. Ale to świadczy o sprycie wroga, ona po prostu nie popełnia błędów zimy. Rozumie doskonale, że i tak przyjdą nowe porządki, więc ukrywa swoją prawdziwą twarz tak by nikt jej nie znalazł. A przecież za rok wróci z powrotem.

Intatso Keiwołzc od urodzenia był przygotowywany do misji. Jego życie miało być poświęcone ideałom, a to znaczyło, że miał zostać rycerzem. Służył dobru i chronił prawo. Zabijał kiedy trzeba było, a kiedy indziej darowywał życie. Tak nakazywał mu jego król Skedok Iksrecyr XIX. Lecz życie rycerza padło w gruzach pewnego dnia. Walczył wtedy ze zdrajcami państwa. Biedni głupcy buntujący się przeciwko porządkowi, mordujący uczciwych ludzi, musieli ponieść karę, a ta była jedna – śmierć. Nie wiedzieli co to honor, więc walczyli zupełnie nie po rycersku. Strzelali w plecy, chowali się po lasach. Nie zdawało się to na wiele przeciwko rycerzom, więc ciała rebeliantów ozdabiały drzewa, a ich kości białały po polach.

Intatso spotkał grupę takich buntowników podczas podróży z listem od króla do jednego z baronów. Było ich dziesięciu. Rycerz spuścił przyłbicę i ruszył do boju pochylając lancę. Nie uciekli w las tak jak przepuszczał. To był ich błąd. Dwóch zginęło pod kopytami, trzech pokłutych lancą leżało w kałużach krwi, kolejnych czterech mocno ucierpiało od długiego rycerskiego miecza. To był koniec, został tylko jeden, trzymający kurczowo sztandar, młodzieniec. Intatso podniósł przyłbicę, krzyknął:

– Rzuć to buntowniku i uznaj swojego prawowitego króla!

Granatowo-czerwony porzecz ozdobiony głową niedźwiedzia załopotał na wietrze, kruk na dębie zakrakał doniośle, a młodzieniec ani mrugnął, stał jak wmurowany. Rycerz ruszył, początkowo wolniej, następnie nabrał prędkości, wychylił się z siodła i ciał. Za króla, ojczyznę i sztandar ze złotym lwem. Młodzieniec padł z potężną raną w klatkę, nawet nie jęknął. A sztandar stał, tylko niedźwiedź patrzył z wyrzutem. Czy miał za złe, że wybrano jego, króla puszczy na symbol przegranych, a może zde gustowany był postawą młodzieńca, który nie wykonał żadnego ruchu?

– Co zrobiłeś! – wrzasnął jeden z pozostałych przy życiu – Zabiłeś go, ty

zakuty baranie!

– Czy ty wiesz jak on miał na imię? To był Aedi. Teraz nie ma już nic, to koniec Eidzule, koniec marzeń.

Eidzul, śmieszne imię, myślał sobie Intatso. To od imienia przywódcy buntownicy nazywali siebie Eidzulami. Ale oto nagle na drodze pojawił się dziwny starzec – Cózesz głupcze uczynił? – powiedział z wyrzutem i schował się w lesie. Intatso nie wiedział czy była to zjawą, czy też aby nie przespał się w siodle, czy ktoś w końcu naprawdę był na tym trakcie. Na wszelki wypadek chwycił za rękojeść miecza, rozejrzał się uważnie po lesie i splunął mówiąc trzykrotnie: – Uch, na psa urok. I wtedy, zanim trzecia flegma osiągnęła podłoże doznał olśnienia. Zszedł natychmiast z konia i uklęknął. Wyjął miecz z pochwy i powiedział: – Nie jestem godzien by żyć. W tym momencie bełt przebił jego napierśnik jakby ów był zrobiony z papieru. Intatso w oczach, padł na drogę. I tylko oczy niedźwiedzia popatrzyły na niego z wyrzutem.

– Masz tu talara mości Ćnard – rzekł król – Należy ci się za tak celny strzał. I niech będzie to przestroga dla tych głupców, którzy próbują czytać imiona wspan.

Proszę

Ania Galuhn

Daj mi latarkę
abym mrok czarny rozjaśnić mogła
Prowadź mnie za rękę
wskazuj mi chmury i drzewa
Kaź dzień nawlekać na nitkę
i każdego ranka wkładać
świeży kwiatek do wazonu
Naucz mnie rozmawiać z ptakami i ludźmi
mówić do nich bez żalu i pretensji
bez ironii bez śmiechu w głosie
Otwórz mi oczy na brudne ulice
zaplute klatki schodowe
I nie zasłaniaj mi gwiazd

Rozdwojenie – Równoległy świat Youki Pouka

czyli legenda nudnego człowieka

Paweł Lubowiecki

Był piękny jesienny dzień, słońce już dawno weszło nad drzewami, a zwierzęta zaczęły codzienne zajęcia. Las tętnił życiem, o ileż pożyteczniejszym i bogatszym, niż to ludzkie, nędzne życie. Polana w głębi lasu była pusta; poza małymi owadami nie było na niej żadnego żywego ducha. Na skraju polany stała obdarta chałupa, bez okien i ze spróchniałymi drzwiami. Z komina wydobywał się szary obłoczek dymu. Youki stanął przed chatką, zastanawiając się, co dalej zrobić. Dziwny niepokój nachodził go na samą myśl wejścia do tego domu. W końcu przełamał ostatecznie strach i postąpił do przodu...

###

W ciemnym pomieszczeniu prawie w ogóle nie było mebli, z wyjątkiem starego tapczanu w prawym rogu koło kominka. Z sufitu zwisały podarte szmaty, pewnie po to, aby wypełnić dziury w popsutym dachu. Przed kominkiem stał człowiek. Jego przygarbiona postać zdawała się trwać w tym bezruchu od wieków. Miał szarą, mocno zniszczoną twarz. Youki odniósł wrażenie, że zamiast mężczyzny jest to zwykły cień puszczany przez szmaty. Człowieczek odwrócił głowę w stronę Youki Pouka i z prawie niewidocznym uśmiechem, spojrzał mu w oczy. Chłopcu się zdawało, że staruszek czyta w jego duszy i opanowało go nieznanne uczucie wstydu. Chciał zamknąć swoje myśli, wyteżył umysł, ale starzec to zauważył i znowu się uśmiechnął.

###

"Witaj Youki. Czekałem na ciebie, bo wiem, że mnie szukałeś" – Youki usłyszał w swojej głowie jakiś głos i poczuł natarczywy ból. Ale starzec nie ruszał ustami. "Co się dzieje, kim jesteś?" – spytał swych myśli. "Jeszcze się nie domyślasz? Rozczarowujesz mnie chłopcze..."

– Rulez. – wyszeptał Youki. – "Zgadza się", ból stawał się coraz bardziej nieznosny...

– Przestań, proszę.

"Myślałem, że się nie boisz bólu" – głos wyłagodniał, a nieznośne uczucie minęło. Youki dopiero teraz zauważył, że od staruszka bije coraz to silniejsza poświata, a on sam zaczyna jakby się unosić.

– Jesteś czarodziejem? – spytał Youki. Nie tak wyobrażał sobie Ruleza.

– Czarodziejem? – Rulez po raz pierwszy odezwał się swoim głosem – Tak zwani czarodzieje są gatunkiem wymarłym. Zginęli śmiercią naturalną.

– To niemożliwe, czarodzieje przecież od dawna są popularni.

– A kiedyś byli całkiem popularni, bo znali tajną wiedzę, tę ich magię. Ale dziś nie ma już magii, więc nie ma już czarodziejów. Ich miejsce zajęli oszuści, tak zwani biznesmeni, bankierzy, naukowcy i informatycy. Magię wyparła nauka i pieniądz. Teraz nic nie jest już magiczne, tylko tanie lub drogie, odkryte lub nieznanne, zbadane doświadczalnie lub wyprowadzone teoretycznie. Ludzi chyba już nic nie uratuje... – zasepił się po małej przerwie starzec – Cała nadzieja w tym, że któregoś dnia osiągną kraniec swojej wiedzy, a wtedy znów wróci magia.

###

Na dworze zaczynało zmierzchać, przez małe okna wpadało coraz mniej światła, a pomieszczenie wypełniał półmrok. Youki z trudem widział rysy starca, który teraz jeszcze bardziej sprawiał wrażenie cienia. Ogień w kominku powoli dogasał, więc Rulez dorzucił trochę drewna. Dało to odrobinę ciepła i jasności, Youki poczuł się raźniej. Staruszek od dłuższego czasu nic nie mówił, tylko siedział milczący i wpatrywał się w ciemne okno. Chłopak zaś zastanawiał się, co ma powiedzieć Rulezowi, bo przecież po tylu trudach w końcu go odnalazł. Zdawało mu się, że Rulez wie o wszystkim, co Youki nosił w sercu.

– Tak, mój drogi – zaczął Rulez – dotarłeś do końca swej drogi i kogo zastałeś? Starca. A co dalej? Nie mogę ci

pomóc rozwiązać problemów, sam się nauczyłeś z nimi walczyć. A miłość? – Frania nie jest jedyną kobietą na świecie, są inne, ale i to już wiesz. Podróż pozwoliła ci trzeźwiej spojrzeć na życie i na otaczających cię ludzi. Zerwałeś ze wszystkimi kontakt, chcąc nie chcąc. Twoi przyjaciele okazali się małymi postaciami w twojej smutnej historii, niczym bohaterowie wiejskiej powieści. A twoje życie i twoja przyszłość, no cóż, nie zapisana karta – co tylko chcesz. – Uśmiechnął się nieznacznie i bardzo słabo zmęczony już staruszek.

###

Tej nocy Rulez porzucił powłokę starca. Ostatni jego uczeń przeszedł drogę czerstwoty totalnej. Jego pobyt na tym nędznym świecie dobiegł końca. Nic nie mógł dlań zrobić. Ludzie w swych egoistycznych skorupach odrzucili go i ofiarowaną im pomoc. "Ha! Myślą, że są coś wari, zamknęci na tej małej planecie w samym końcu wszechświata. Żegnaj Youki..." Błękitna poświata przez chwilę unosiła się nad chatką staruszka...

###

Youki miał dziwny sen, pierwszy raz od dłuższego czasu śnił mu się ojciec. Patrzył na niego, jak na trzyletnie dziecko bawiące się klockami. Uśmiechał się dumnie. Youki chciał mu coś powiedzieć, przytulić się do niego, ale on wstał i zaczął odchodzić. Potem pojawiła się matka Youki Pouka i chwyciła męża za rękę. Jeszcze raz spojrzeli na syna i czule się uśmiechnęli: "Ty teraz jesteś spadkobiercą Ruleza. Tatus i mamusia liczą na swojego syneczka". Nagle ich twarze zaczęły się zmieniać, starzeć, niszczyć. W końcu oboje odeszli – umarli, zostawiając swoje dziecko na pastwę ludzi – psów, którzy wyrosli w tej chwili spod ziemi. Wtem obraz się zmienił, a Youki znalazł się w lesie. Stał i patrzył na ścięte drzewo, drzewo odcięte od swoich korzeni, jak on od swojej przeszłości...

π

* * *

Youki stał na środku jakiejś polany i nie mógł zrozumieć jak się tu znalazł. Wiedział jedno, cała ta historia strasznie go wnerwiała. W ogóle od rana bolał go brzuszko i chciało mu się kupkę.
– Chce mi się kupkę. – powiedział sam do siebie.
– To wał, stary, byle nie na mnie. – odpowiedział mu głos z dołu.
– Jejku, kto to?
– To ja, twój dawny towarzysz Czubek. – odparł grzybek.
– Ale ja cię zjadłem dawno temu.
– Zdażyłem się rozmnożyć, no wiesz przez zarodniki, he he.
– Ta – Youki zdeptał natręta – przykro mi.

* * *

W tym momencie Youki przerzucił kanał.
– Hej, oglądałem ten film! – powiedział

autor.

– Zawsze oglądasz własne głupoty.
– Zawsze. A ty nie musisz być taki złośliwy.
– Wiem, że nie muszę. – odparł obojętnie Youki Pouki.
– No więc?
– No więc nudzi mi się ta twoja historia. Mam ochotę zrobić ci psikusa i pozbyć się twojego głównego bohatera.
– Dlaczego?
– Tak, by zadrwić z naiwniaków, którzy wierzą w szczęśliwe zakończenie twojej opowieści.
Autor przestraszony spojrział na drewnianą kukłę, na jej małe nóżki, grubiućki brzuszek i dużą główkę. Youki Pouki strzelił...

* * *

Autorowi ostatni raz przeleciały przed oczami wszystkie sceny z kończącego się właśnie życia. Jeszcze raz spojrział wstecz. Wszystko widział z podwójnej

perspektywy – swojej i Youka. Ale teraz nareszcie znowu był sam, bo człowiek, gdy rodzi się i umiera, jest całkowicie sam... Tuż przed zaśnięciem pomyślał o Ojcu i się nawrócił. Ostatnia łza spłynęła mu po policzku.

* * *

Na pogrzeb autora nikt nie przyszedł. Byli tylko ksiądz i stróż cmentarza. Ksiądz odprawił mszę żałobną, stróż położył na grobie autora starą popsutą lalkę o głupim imieniu...

* * *

Youki opuszczał to miejsce. Zostawiał tu cząstkę samego siebie, swoje wspomnienia. Przenosił się gdzie indziej, może tam spotka go coś nowego. O to miejsce jednak był spokojny, bo jak ktoś kiedyś powiedział: "Pieśń bohaterów rozbrzmiewa się echem w czynach następnym pokoleń".

Y.P.

Etiudy Rysiek Kostecki

l'existence

Upił resztkę wina. Wyszedł. Nigdy nie wiedział dokąd zaprowadzą go te nocne wędrówki. Czasem był to klasztor, czasem jakaś leśna polana skryta wśród szponów drzew. Zawsze jednak był ten wydobywający się z wnętrza czaszki zew – coś jakby pieśń nieskończone smutna, wiejąca grozą nieuniknionego, a zarazem potwornego zakończenia.

Dniem wycieńczony funkcjonował na granicy nieprzytomności, śnił na jawie fragmenty poprzednich nocy – dni właściwych. To one z coraz większą drapieżnością i bezwzględnością pożerały jego osobę. Czuł, iż przestaje być nawet obserwatorem tego co się z nim działo – jego tożsamość w obliczu nocy zanikała. Wraz z nią rozsypywało się jego życie – przestał przychodzić do pracy, a kontakty z innymi ludźmi, surrealistycznie wykrzywione w falującym stanie półświadomości, zredukowały się wnet do widoku osoby barmana, bez słów i cienia zainteresowania napełniającego kolejne kieliszki wina.

Tak też było dzisiaj – zbudziwszy się (a właściwie półzbudziwszy – trudno oddać słowami ten stan, kiedy człowiek przechodzi z nieistnienia w istnienie w stopniu ułamkowym) dostrzegł, iż

* Adagio (♩ 56)



leży w ubraniu i ubłoconych butach. Następną rzeczą jaką zarejestrował było już wewnątrz tej knajpy, w której przevegetował resztę dnia, fluktuując gdzieś pomiędzy smakiem ciemnego kąta, latami nie mytych stołów, a obrazem taniego wina. A może to było inaczej? – nie ważne, zapomniał.

W pewnej chwili poczuł to. Jakieś niewyraźne ukłucie. Smutek? – nie, coś jakby zarodek strachu, zamięnienie stanu prawie beztrwania – chociaż nic się wokół niego nie zmieniło. Nic? A jednak. Zaszło słońce. Powoli stawała się noc, a wraz z nią narastający szept, przyswajający każdy skrawek mocy, oddawanej przez ustępującą szarość agonii dnia. Jego niepokój rósł w zatrważającym tempie, przerywając w pewnej chwili łańcuchy, którymi skuta była świadomość. Znowu myślał! Znowu czuł! Znowu istniał! *Gdzie jestem? Co robię?* – *Ach, tak! Pamiętam!... Och... Nieee!...*

Ten okrzyk był jego ostatnim świadomym czynem. Zrozumiał, wiedział – ale było już za późno. Zew, bezwzględny oprawca świadomości, przejął nad nim kontrolę. Nie myślał, nie czuł, nie istniał. Upił resztkę wina. Wyszedł.

Tej nocy szedł długo, dłużej niż kiedykolwiek. Szept natarczywie pchał go

przed siebie – tam. Gdzie? Tam. Po prostu. Zawsze było jakieś tam. Później (lecz nie tak bardzo, zresztą czy można mówić o zegarze w monotonii bezczasu?) nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zaczął iść na czworakach. Potem już tylko pełzał...

Nad ranem na peryferiach metropolii znaleziono martwego człowieka. Z braku danych śledztwo umorzono.

la destination

A więc nastał czas. Będziemy dziś włóczyć się po spelunach, po pustych nadbrzeżach, taplać się w błocie, upadłać na każdym rogu. Dziś każdy zaułek stanie się świątynią rozpusty, każdy łyk wina heretycznym aktem naszej mszy w świątyni grzechu. Dziś rozpalimy płomienie pożądań i zagotujemy w nich naszą krew. Sprzedamy czas za rozkosz, życie za niemoc.

A więc chodźcie, wypełnijmy z mroków rur kanalizacyjnych, studzienek, cieni latarń. Ukażmy swą siłę, ukażmy swoje prawdziwe oblicze. Zerwijmy ściany, baldachimy, zasłony kłamliwych oczu. To nasz czas!

A więc weźcie ze sobą robactwo, weźcie choroby, śmierć, weźcie też rozkładające się zwłoki, kał.

Wywlecemy je na powierzchnię, z nich i z waszych rozpadniętych twarzy, zrujnowanych gestów, obumarłych słów tworząc dekorację dla naszego tańca zmysłów, bezbożnej ekstazy wrażeń. I już na zawsze będziemy tak pulsować zjednoczeni ze światem.

Aż ktoś stłucze lustro.

Uamour

W szeleście liści opadających z drzew, gołębih piór, przewracanych kartek opowiadań stałaś się. A przedtem Ciebie nie było. Może jest to stwierdzeniem trywialnym, choć...

Psychoza

Konrad Grochowski

Stanął pod płotem. Był on (płot) pod napięciem, a od chodnika odgradzały go zasieki. Wszedł na teren podstawówki obok – przy płocie granicznym nie było zasiek, jeszcze. Podeszedł do starej, zaspawanej furtki. Na szczęście spawy nie były kwasoodporne. Lekcje chemii na coś się jednak przydały. Po chwili był w środku. Boisko przebiegł bez większych przeszkód. Potem szybko, uciekając przed światłami szperaczy, prawie skokami dotarł za budynek gospodarczy. Czujniki dymu, rozpylacze gazu pieprzowego i chemikalii znaczących nieostrożnych palaczy wyglądały w ciemności przerażająco. To były pozostałości po początkach projektu. Zaczęło się od zwykłych identyfikatorów...

Oficjalnie było to dla bezpieczeństwa uczniów. Teraz już nikt nie pamięta, jakie były prawdziwe motywy. Dość szybko dodano do identyfikatorów karty magnetyczne w celu ułatwienia procesu legitymowania przy wejściu. Jednocześnie unowocześniono system fotokomórek tak, że można było stwierdzić czy ktoś wchodził czy wychodził z korytarza i z grubszą można było oszacować gdzie i ile jest osób...

Dostanie się do kotłowni nie zajęło mu wiele czasu – chroniły ją tylko stare kłódki – 2 minuty wytrychem. W środku przypomniał sobie swój pierwszy plan: podłożyć tu bombę i cześć. Ale po ostatnim remoncie Centrum Dowodzenia ze wszystkich stron otoczone jest metrowej grubości murem. Podłoga niestety też...

Twoje narodziny zbiegły się z nastaniem dnia, dnia który nie miał się zakończyć (a przynajmniej tak o nim zdawałaś się mówić). I byłaś. A Twoje słowa, zarówno te wypowiedziane, jak i te, które były rozumiane w ich bezdźwięcznym brzmieniu, rozświetliły ulice, parki mieniące się ptasią obecnością, no i oczywiście ów kieliszek wina, ożywiony Tobą.

Obudzony Twoim światłem (a może światłem dnia, zresztą te na początku różne jasności wnet zlały się w jeden nierozróżnialny strumień) patrzył on w Ciebie, słuchał, czuł i – nie potrafiąc uczynić więcej – radośnie rzucał refleksy

Rozwój systemu kamer oraz głośniki "do zwracania uwagi" na każdym piętrze to był pierwszy krok, który wywołał duży sprzeciw uczniów. Ale, że już dawno ich życie ograniczyło się do wegetacji i zerowej inicjatywy, protesty szybko ucichły. Ci co krzyczeli za długo i za głośno po weekendzie po prostu nie przyszli, a w ich domach nikt nie odbierał telefonów.

Podeszedł do ściany i dokładnie ją opukał (ale nie za głośno). W odpowiednich miejscach podłożył małe ładunki.

Na początku nikt nie wierzył aby kamery były też w toaletach, ale gdy głos woźnej z megafonów został zastąpiony komputerem podłączonym do bardzo dokładnego systemu fotokomórek i mikrofonów, a przed wejściem lub wyjściem z sali trzeba było używać karty magnetycznej, wszyscy byli gotowi uwierzyć, że są obserwowani nawet po wyjściu ze szkoły. Nikt już wtedy nie protestował. Zastraszenie osiągnęło stopień, przy którym zaczęły się pojawiać pierwsze donosy w skrzynce "Listy do dyrektora".

Obudziły go słowa "Rączki, rączki Kloss". Najpierw się przestraszył, potem oprzytomniał i uświadomił sobie, że słyszy "Stawkę...", którą w stróżówce ogląda Ciocia Adela*. Odkąd wczepiono chipy i ciągle patrzenie przez kamery stało się niepotrzebne, monitor znalazł nowe zastosowanie...

Potem rozpoczęło się przeszkalanie i wypożyczanie woźnych, oficjalnie by zaoszczędzić na ochronie. Wkrótce każda

dookoła, tworząc abstrakcyjny kolaż promieni na drewnianej posadzce.

Twoje słońce oświetliło wielu. Niektórzy z nich też podnieśli ręce w górę, by czerpać życiodajne uśmiechy, inni zdezorientowani krążyli po zaułkach próbując dojść o co chodzi, jeszcze inni zaś (tych było najwięcej) nie dostrzegli Ciebie w ogóle i dalej kroczyli w pasmach cienia rzucanych przez uschnięte drzewa.

Lecz to nie ważne, bo Ty przecież byłaś. I...



*miała shocker, gaz pieprzowy i cyklon B dla b a r d z i e j opornych, oraz zastrzyk antybiegunkowy. Te zastrzyki to był efekt nowego oprogramowania na głównym komputerze systemu ochrony. Po prostu pewnego dnia z megafonów, z których zazwyczaj słychać było komunikaty komputera w stylu: "Uczeń Zebrzydowski nie może wyjść na korytarz – liczba osób na korytarzu osiągnęła maksimum – 10", "Dlaczego uczeń Beltowski próbuje wejść do sali 214, przecież nie ma tam lekcji? Niech uczeń odejdzie od drzwi i nie blokuje przejścia", itd., wydobył się (jeśli, drogi czytelniku, zapomniałeś już o co chodzi w tym zdaniu to napij się herbatki na sklerozę z tego... no... eee... ten tego... wiecie o co mi chodzi**) komunikat: "Uczeń Kowalski po raz trzeci dzisiejszego dnia korzystał z kabiny nr 3 w toalecie na 2 piętrze. Woźna X54 (uproszczenie imion dla opróżnienia pamięci komputera) ma sprawdzić co takiego jest w tej kabinie. Jeśli nic, proszę zaaplikować uczniowi 20 miligramowy zastrzyk antybiegunkowy." A był to już czas zasady: głos z megafonu każe, człowiek robi. Więc woźna X54 wzięła i poszła do apteki po zastrzyk...*

Dzwonek na pierwszą lekcję wyrwał go z zamyślenia. Znowu stał się czujny. A nuż któraś woźna pójdzie na obchód i zajrzy do kotłowni? Był to jeden z dwóch słabych punktów jego planu. Tych dwóch słabych punktów, z których zdawał sobie sprawę...

Namalowania pasów na korytarzach nie trzeba było już uczniom tłumaczyć. Sami się przekonali, że to w celu usprawnienia ruchu. Miejsca "parkingowe" na korytarzach zostały najpierw ograniczone, a potem całkowicie zlikwidowane. Wszyscy już tak przywykli do nierozmawiania (ze względu na podsluchy), że od razu przechodzili do sal i zostawali w nich do końca przerwy. Przerwy zostały więc skrócone do minimum, a zaoszczędzony w ten sposób czas został wykorzystany na dodatkowe lekcje ideologiczne (wyjaśniające uczniom cudowne zmiany zachodzące w ich otoczeniu).

Pierwsza przerwa. Chwilę po dzwonku po szkole przeszedł odgłos ciągle otwieranych i zamykanych automatycznych drzwi oraz tupot nóg. Wykorzystał ten ogólny szum do odpalenia ładunków. Nikt nie usłyszał głośnego tąpnięcia w szatni 2-Fu wyciszonego przez grube zimowe kurtki.

Te automatyczne drzwi też ewoluowały. Najpierw karty magnetyczne, potem było... tak, chyba od razu, Ujednolicenie Fryzur. Niby żeby nikt się nie wyróżniał. Ale kiedy wszyscy byli już łysi, okazało się (a oficjalnie dopiero wtedy pojawił się ten pomysł), że tak łatwiej jest po prostu wytatuować na czole i tyle głowy kod kreskowy. To przyspieszyło procedurę przechodzenia z klasy do klasy. Ale czynniki łatwo się psuły lub uczniowie ustawiali się nie tak... Wszczepienie chipów pod czaszkę naprawdę ułatwiło życie. Było też

tańsze. Zamiast czujników przed każdymi drzwiami, 3 czujniki na piętro dokładnie określające pozycję ucznia. Jeśli znajdował się przed drzwiami do sali w której miał lekcję i była przerwa, otwierały się. A jak nie to nie.

Wyszedł na korytarz. Kilka osób jeszcze bezcelowo się szwendało. Ktoś się z kimś witał: "Cześć 3C/5!". Tak, odkąd dla dalszego zwolnienia pamięci komputera używał on oznaczeń zamiast nazwisk, uczniowie sami zaczęli tak na siebie wołać. Bał się, żeby go ktoś nie rozpoznał. Wiedział, że jako bezchipowy uciekinier jest poszukiwany i wypowiedziane jego imię lub oznaczenie wywoła cichy alarm. Woźne dostaną o nim komunikat bezpośrednio do słuchawek, prawie już wrośniętych w ich uszy. Spokojnym krokiem przeszedł do automatów z colą. Obawiał się czy ktoś nie zwróci uwagi na to, że automat nie zapali zielonej lampki, co oznacza: możesz korzystać. Nawet zakupy coli były kontrolowane, a on, bezchipowiec, nie mógł korzystać z automatów. Ktoś może go wsypać nawet nieświadomie, pytając czy automat się nie zepsuł. To był drugi słaby punkt.

Dzwonek, koniec przerwy. Lekkie zamieszanie (tego nie udało się usunąć, jeszcze). Wślizgnął się za automat, wspiął się na podest Centrum Dowodzenia, w slangu, ze względu na karabiny maszynowe, zwany Redutą. Nim automaty zdążyły się odwrócić,

unięskodliwiła je eksplozja granatu. W szkole zapaliło się czerwone światło i megafony zaczęły wyć. Drzwi chciał otworzyć z kopa, ale zamontowano chyba już pancerne. Ale skorzystał z zasady: gdzie glan nie pomoże, tam z pancerfausta poślij. Po sekundzie był już w środku i stanął przy głównym komputerze. Wyjął z plecaka DrMSW (Domowej Roboty Mieszankę Silnie Wybuchową). Ostatni rachunek sumienia. Ostatni raz przekonuje się, że działa dla dobra innych. Teraz tylko złapać za detonator (ale zimny!) i pociągnąć. 3...2... Błysk! Ale to nie DrMSW. Nie mógł przewidzieć, że na lekcji ktoś zostanie w Poko... Centrum Dowodzenia i będzie miał przy sobie działko plazmowe...

Nim stał się częścią szkolnej atmosfery, zastanawiał się, czy DrMSW też wyparuje i czy zdążył pociągnąć... Tego on już się nie dowie.

* Autorowi chodziło o herbatkę "Nascele-Rose" firmy Rysion & Rysion.
** A właściwie to nie Ciocia Adela, tylko woźna X4i4.

P.S. Drogi Czytelniku! Czy gdy czytałeś ten tekst, to śmiałeś się, czy...?

P.P.S. Dziękuję za inspirację i kilka pomysłów Agnieszce i Magdzie – cudownym dziewczynom, oraz Rysiowi, bez którego poparcia artykuł ten nie wyszedłby poza ściśle prywatne kręgi.

Pamiętnik nieznanego naukowca

Ciąg dalszy

Konrad Grochowski

Próbując odtworzyć tor lotu kapsuł, dotarliśmy do niecałkowicie zbadanej galaktyki spiralnej. Znając prędkość kapsuł i badając ruchy gwiazd (by wiedzieć jak zachowywały się wcześniej), obliczyłem na komputerze jak trajektoria lotu zmieniła się pod wpływem grawitacji. Doprowadziło to nas do pewnej gwiazdy, która posiadała bardzo rozbudowany (jak na tą galaktykę) układ planetarny. Kapsuła wystartowała najprawdopodobniej z 3 planety od gwiazdy centralnej. Jest to mała niebiesko-zielona planeta. Sporo czasu (aż 2h!) zajęło nam obliczenie, z którego miejsca te

kapsuły wystartowały. W międzyczasie wysłaliśmy próbnik. Planeta ta okazała się bogata w tlenek wodoru (w stanie ciekłym) i tlen (aż 49% atmosfery, do spółki z azotem (49%)). Nad H₂O wystawało kilka większych form skalnych. Miejscem startu była prawdopodobnie jedna z mniejszych, wyglądająca jak cypelek. Tam wysłaliśmy nasz ładownik.

Koniec wpisu.

**Dziennik Kapitana
Międzygalaktycznej Rakiety
Kosmicznej
ЕНТЕРРІАІΣ.**

Z zapisów Kapitana Ładownika X-30 z misji o kryptonimie "Pamiętniki"

Wylądowaliśmy w ruinach jakichś starożytnych budowli, stworzonych przez cywilizację raczej inteligentną. Nie znaleźliśmy jednak żadnych śladów żyjących członków tej społeczności. Jedyne co po nich zostało to wapienne struktury, które wykazywały podobieństwo do naszych szkieletów. Po zeskanowaniu radarowym okolicy doszliśmy do wniosku, że było to średniej wielkości miasteczko (ok. 2 mln. mieszkańców). Udaliśmy się na miejsce startu kapsuł. Był to budynek tylko kilku-

nastopiętrowy, w centrum miasta, zbudowany z piaskowca. W wyniku działania robotów archeologicznych, odnaleźliśmy kolejne notatki, należące zapewne do tej samej osoby.

Ciąg Dalszy pamiętników

Oto pamiętnik datowany najwcześniej.

Dzień (że też ten facet nie potrafił zapisać daty!) A.D. 2002

W końcu ukończyłem przenoszenie sekcji biologicznej z powrotem w pobliże mogielnika odpadów radioaktywnych. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy jakie to daje możliwości. Najpierw rozpocznę badania nad roślinami.

Zapamiętać: Kupić w kwaciarni kilka doniczekowców.

Dzień (no comment)

Dzięki sprytnym mutacjom chemiczno-genetyczno-radioaktywnym udało mi się uzyskać odmianę rośliny tropikalnej, która przetwarza 2x więcej CO₂ w O₂. czyżby koniec problemu z zanieczyszczeniem atmosfery?

Zapamiętać: Wyrzucić resztę eksperymentów do śmietnika.

Dzień (jak zwykle, czy ten facet nie mógłby zrobić czegoś w nocy?)

Moja mutacja okazała się powtarzalna i skuteczna na kilku tropikalnych gatunkach. Jutro lecę do Brazylii rozpylić trochę środka mutującego w dżungli.

Zapamiętać: Sprawdzić hałasy przy śmietniku.

Noc z dnia na dzień (w końcu!)

Akcja zakończona pełnym sukcesem! Lasy tropikalne Ameryki Płd. będą niedługo wytwarzać 2x więcej O₂.

Zapamiętać: Jestem wielkim geniuszem.

Dalsza część składa się z wycinków z gazet

1. "Niezidentyfikowany obiekt latający pochodzenia ziemskiego, dokonał wczoraj mutacji części lasów tropikalnych. Dzięki tym zmianom lasy wytwarzają dwukrotnie więcej tlenu niż wcześniej! Chwała geniuszowi!"

2. "Mutacja rozprzestrzenia się coraz szybciej!"

3. "Nieznane zwierzęta zaatakowały wioskę Indian w puszczy amazońskiej. Nikt nie przeżył."

4. "Kolejny morderczy atak! Tym razem mamy pewność że były to Krwiożercze Sekwoje. Co za imbecyl rozpoczął tą mutację!?!"

No cóż muszę przyznać się do częściowej porażki. Nie przewidziałem dalszych mutacji. Mam nadzieję, że na tym zmiany się skończą.

Zapamiętać: Jestem geniuszem?

Notatka z następnego tygodnia:

Mutacja posunęła się dalej niż sądziłem. Rośliny przystosowują się szybko do innych klimatów. Atakują właśnie Meksyk zżerając wszystko żywe na swej drodze. Jest ich zbyt dużo i za szybko się przemieszczają by można było je zaatakować jakąkolwiek bronią. Muszę tam lecieć i je zwalczyć. Nową broń testowałem już na tym co biega po śmietniku.

(Duży Międzyczas)

Kolejna notatka

Przegrałem. Są za silne, za liczne i za szybko się zmieniają. Dochodzą już do Kanady. Jak długo nie nauczą się pływać, jesteśmy bezpieczni.

Zapamiętać: Na wszelki wypadek spisać testament.

Następnego dnia:

To jest straszne! Zbadałem próbkę rośliny. One przetwarzają y razy więcej CO₂ w O₂ (przy czym y jest funkcją kwadratowo rosnącą w czasie). Fala ude-rzeniowa tlenu niedługo dojdzie do mego miasta. W miastach przez które przeszła ludzkie umierają na chorobę hiperwentylacyjną. Jedyną nadzieją zostają ludzie ze wsi. W dodatku te mutanty przetwarzają (przy użyciu reakcji jądrowych) azot w tlen.

Ostatnia notatka:

To chyba jednak nie był dobry pomysł. Wczoraj u wybrzeży Islandii widziano wielkiego zmutowanego Morszczyna pożerającego wieloryba. Fala tlenu dojdzie tu za 10 minut. Zabrałem zapasy konserwy tyrolskiej i paprykarza oraz Zwykłego Powietrza w Proszku (wystarczy zalać!) i siadam na suficie.

&&&

Odruchowo spojrzalem się na sufit. Siedział tam szkielet z przyczepioną karteczką "Nie wziąłem otwieracza!"

W tym momencie Borg przerwał lekturę i głęboko (12 cm) się zamyślił. W końcu zapytał kap. Teodora: Dlaczego my czytamy o tym, jak głupia rasa czytała o wyginięciu jeszcze głupszej rasy? Teo: z tych samych powodów co oni. Próbuujemy sobie udowodnić że jesteśmy lepsi i mądrzejsi. Stokrotka! Nie wyżeraj mi mojego lunchu!

Czołg

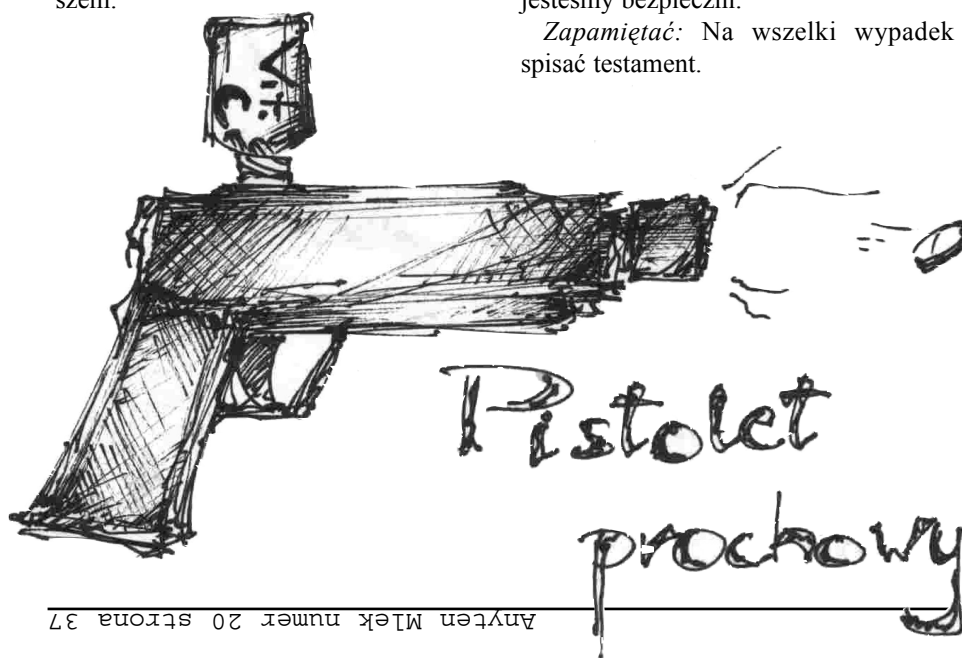
Zuzia Pacholczyk

P przed Pałacem Kultury stał czołg. Przechodzący obok niego neurotycy – bądź to obojętnie, bądź to z zainteresowaniem – nie byli w stanie wpłynąć na ilość posiadanych przezeń kół. (– Trzynaście! Trzynaście! – krzyczało jakieś dziecko.

– Nie, czternaście. Po siedem z każdej strony. – poprawiła je jakaś znerwicowana dziewczyna.)

Tkwiący bezradnie nad białym napisem "Rudy" równie biały orzełek patrzył na to wszystko z rosnącym zdziwieniem. Więc to są ci neurotycy, o których tyle mówiono? A wyglądają zupełnie normalnie...

Metrem nadjeżdżał anioł.



Stasiek psycholog

Kasia Łażewska



– Stasiek, możesz zamknąć ten balkon?! Strasznie wieje! Robisz przeciąg!

– ...

– Stasiek, do jasnej ciasnej, zamknij drzwi i wyrzuć papierosa. Miałeś rzucić! – kobieta przestała na chwilę prowadzić swój docierający do każdego monolog i złapała większy oddech. – Jeżeli zaraz nie wyrzucisz tego peta, to nie wpuszczę cię do łóżka, będziesz spał na dworze! – ponownie przerwała, aby dobrać słowa, które lepiej dotrą do głuchego na jej wrzaski mężulka – Zaraz oddam sąsiadowi cały twój zapas cygar z... skądś tam!

Jednak krzyki biednej kobiety pragnącej jedynie odrobiny ciepła we własnym mieszkaniu nie działały na jej towarzysza. Mężczyzna stał na balkonie. Oparł się leniwie o balustradę i zaciągał się cieniutkim papierosem o dźwięcznej nazwie "O Pycha". Prawą rękę ze smolakiem trzymał luźno spuszczoną w dół, natomiast lewą przyglądał sobie włosy.

Mieszkali na siódmym i ostatnim piętrze niskiego bloku. Z balkonu rozpościerał się piękny widok na zanieczyszczoną rzeczkę i ogromne wysypisko śmieci, które było siedliskiem okolicznych metów. Jednak nawet ów cudowny krajobraz nie był w stanie zakłócić spokoju życia Staśka i jego żony. Stał i patrzył w dal podziwiając zgrabne kształty górów śmieci wznoszących się na wysokość czwartego piętra. Szukał wzrokiem dziwnych przedmiotów, które w promieniach zachodzącego słońca wyglądały interesująco. Lubił nacieszyć swe oczy nowymi wyobrażeniami tych starych sprzętów.

Słuchał strzępków rozmowy dwóch bezdomnych, która przeradzała się w żąrtą kłótnię. Ich poruszona rozmowa dotyczyła chyba potłuczonej żarówki znalezionej przez jednego z nich na szczycie śmieciowego pagórka. Stanisław niewiele z tego rozumiał, gdyż w tej samej chwili jego wyrozumiała i potrafiąca znaleźć odpowiedni moment żona zaczęła coś do niego krzyczeć. Właściwie nie mógł nic usłyszeć przez ścianę, choć drzwi balkonu były otwarte. Nie przejął się tym jednak.

– Czy ta kobieta chociaż raz nie

mogłaby dać mi spokoju? – zapytał sam siebie.

Lekki wiaterek otarł się o jego twarz i rozwiął włosy, które z takim mozolem starał się wcześniej ułożyć.

– ...Oddam sąsiadowi... zapas cygar...

– doszedł go z oddali głos żony. Dźwięki wyrwały jego umysł z zadumy, a całe ciało z odrętwienia, które dopiero teraz dało o sobie znać. Wyprostował się i przybrał nową pozycję opierając się o barierkę plecami. Słowa kołatały mu się w głowie "...oddam sąsiadowi... zapas cygar..." – powtórzył w myślach. Skąd ona ma cygara i dlaczego chce je podarować sąsiadowi? Przecież ja mógłbym je wziąć... – myśli przewracały mu się w głowie – Cygara, hm. Cygara – powtórzył. – O jasny gwint, moje cygara! Ta kobieta chce oddać sąsiadowi moje cygara! Po moim trupie! – krzyknął głośno i z furią w oczach zaczął zmierzać w stronę drzwi balkonowych.

– Moje cygara kupione za ciężko zarobione pieniądze własnością tego typu spod dwudziestki?! Nigdy! Co jej do głowy strzeliło! Chyba nawdychała się za dużo świeżego powietrza!

Słońce prawie schowało się za horyzontem. Ostatnie promienie zatrzymały się na twarzy Staśka i nagle zapadła dziwna cisza. Ptaszki przestały ćwierkać, a kłótnia bezdomnych urwała się w pół zdania. Krzyki żony przybrały ton podobny do odgłosów wydawanych przez wieloryby na zwolnionych obrotach. Brzmiało to tak, jakby ktoś nagle zaczął się topić. Dziwne bulgotanie jednak również powoli ucichło. Wokół czuło się jakiś niepokój. Gęstniejąca cisza przybierała obojętnego charakteru. Powietrze stało się zimne, wręcz lodowate. Wszystko poruszało się bardzo wolno, jakby zaciął się obraz.

Stasiek stanął w pół kroku. Zanim zorientował się, że coś jest nie tak, nie mógł już zrobić żadnego ruchu. Zatrzymał się w jednej pozycji, jakby skamieniał. Nie pojmował co się dzieje. Świat dookoła stał się nieznanym i nieosiągalnym.

To przyszło nagle. Poczul lodowate noże przesywające jego ciało w różnych miejscach. Ostrza wbijały się w rękę, nogi, brzuch. Stał i nie mógł nic

zrobić. Nie mógł nawet poruszyć głową, aby zobaczyć narzędzia, których działania jawnie doświadczał. Nie potrafił dojrzeć żadnego na-

pastnika. Czuł jedynie otepiający i przenikający do szpiku kości ból. Uczucie to przybierało coraz większej mocy. Wiedział, że już dłużej nie wytrzyma. Chciał krzyczeć i próbował to robić, ale nie słyszał nic, choć jego usta były otwarte. Pragnął ustami dać upust swemu cierpieniu, lecz w żaden sposób nie mógł wydobyć dźwięków.

Pomyślał, że to koniec. Kiedyś często zastanawiał się jak to będzie wyglądać. Rozmyślał jak ta chwila da o sobie znać. Czy będzie odczuwał ból, radość, smutek, a może coś całkiem innego? Spędził dużo czasu rozmawiając z ludźmi o ich spojrzeniu na tą sprawę, w końcu był psychologiem. Umiał się dogadać z człowiekiem i poznać jego naturę. Rozmowy dużo mu dawały, wiele się nauczył. Inni ludzie ukazali mu nową perspektywę dotyczącą tej sprawy. Każdy na różny sposób opisywał swe wyobrażenia, z czego wielu bardzo dokładnie. Przeprowadzał nawet pewne badania razem z pacjentami szpitali, którzy przeżyli śmierć kliniczną. Poznał wiele doznań, które nigdy wcześniej nie przyszły mu na myśl, ale nie spodziewał się, że ta chwila będzie wyglądać w ten sposób.

Myślał, że odejście, jego odejście, będzie jakby zaśnięciem, wejściem w inny, lepszy świat, w którym pozna prawdziwe i niewyobrażalne szczęście. Śmierć stała się dla niego odpoczynkiem po ciężkiej pracy. Stanem, który przetrzeźwi w nowe życie bez problemów. Odejściem w zapomnienie, gdzie nie będzie się musiał niczym martwić. To jednak było czymś zupełnie nieznanym, wręcz przerażającym. Stanowiło przedsmak straszliwego cierpienia, które miałyby się już nigdy nie skończyć.

Po chwili do ogromnego bólu dołączyło również nowe uczucie. Poczul się strasznie ciężki. Głowa ciążyła mu na szyi, ale nie potrafił zrobić ruchu, który

użyłby jego zbolełemu ciału. Wydawało mu się, że jego ramiona i nogi ważą tonę tak, jakby dopiero, co wyszedł z wody po forsującym treningu pływania.

Ogarnęły go mdłości. Czuł w ustach metaliczny posmak. Pomyślał o krwi, gdy nagle wszystko ustało. Ból razem z wrażeniem ciężkości opuścił go. Nadeszły jednak całkiem inne doznania. Zmysły odmówiły mu posłuszeństwa i przestały prawidłowo funkcjonować.

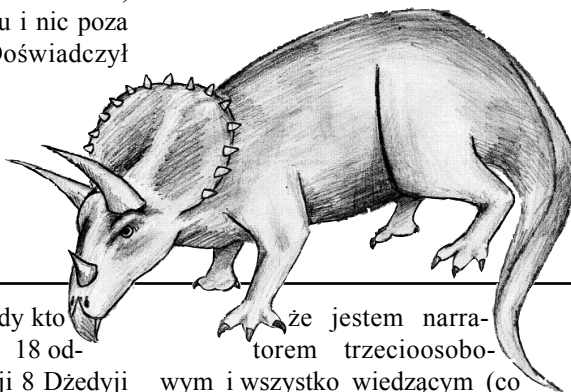
Zapanowała ciemność. Nic nie widział, nie słyszał. Uległ złudzeniu, że jest duchem i nie ma cielesnych problemów. Nie mógł się ruszyć, ale nawet o tym nie wiedział. Ogarnęła go euforia. Cieszył się, lecz nie miał pojęcia, czym. Wszystkie myśli opuściły jego umysł. Nie potrafił się zorientować czy stoi, czy leży. Po prostu był. Czuł się leciutki tak, jakby unosił się w powietrzu i nic poza tym go nie dotyczyło. Doświadczył

przyjemnego ciepła, które wyzwoliło go z siideł myślenia, rozlewając się przyjemnie po organizmie jak gorąca czekolada. Podświadomie czuł się bezpieczny.

Będąc w stanie otępienia, mimowolnie otworzył usta i zaczął mówić nie wiedząc o tym. Słowa głucho odbijały się w jego głowie, ale nie słyszał tego, nie rozumiał. Mówił.

Dziadek Triceratops

Rysiek Kostecki & Konrad Grochowski



Dziadek Triceratops podrapał się po plecach. Nie pytaj się mnie czytelniku, dlaczego, bo nie wiem. Ludowa legenda głosi, że jedyną istotą która to wiedziała był jego (pra)³⁰-wnuk Hendryk Gryzipiórek herbu Ciupaga i Dwa Gwoździe, ale ten niestety umarł bezpłodnie (cokolwiek by to nie znaczyło) podczas Bitwy Pod Grunwaldem, na głębokości -200 m n.p.m., gdzie poległ jako ostatni z prawego skrzydła 12 Oddziału 15 Korpusu 37 Dywizji 4 Armii Chomików Zmotoryzowanych, liczącej notabene dwóch żołnierzy. Jego dzieci bardzo zdziwiły się na wiadomość o tym, że ich ojciec zginął bezpłodnie, ale wtedy były one posłuszne, więc jak tato kazali to wyginęły.

Drugim żołnierzem oprócz Hendryka Gryzipiórka, był Adefons Gryzofil Młodszy herbu Placebo i Pi Szóstych Pietruszki, zasłużony kawaler orderu Zajęczego Bobka. Adefons był tego pamiętnego dnia bardzo niezadowolony z życia, bowiem jakieś potwory zdeptały mu doszczętnie grządkę śrubokrętów zasadzoną nad modrym ruczajem jeszcze zeszlą wiosną. Nie żeby było to coś bardzo cennego – w sumie w okolicy były aż trzy Spółdzielnie Produkcji Śrubokrętów Dla 12 Oddziału 15 Korpusu 37 Dywizji 4 Armii Chomików Zmotoryzowanych – ale Aldek (tak mówili na niego przyjaciele) już się do swoich śrubusiów przyzwyczał. Dlatego właśnie, kiedy zobaczył nadjeżdżający Yage-Lone'owóz, zaklął szpetnie: \$@#^%# (na szczęście dla nas chomiki zmotoryzowane, nawet w wersji podstawowej, miały wówczas wbudowany szyfrator DES56x2, w związku

z czym nie dowiemy się nigdy kto jest kim i dlaczego...). Ale 18 oddział 40 Korpusu 44 Dywizji 8 Dżedyji (Armii Dżedaj) Mięsa Armatniego zdeszyfrował stwierdzenie i poczuł się lekko urażony (mieli problemy z deszyfrowaniem podmiotu, ale to im nie przeszkadzało). Ponieważ nie uzyskał odpowiednich przeprosin w ciągu 0.00001s, ruszył do natarcia.

Na widok nacierającego Mięsa Armatniego, w gotowości bojowej stanął 25 Oddział 60 Korpusu 1 Dywizji 4 Armii Królików Artyleryjskich. Niestety Mięso Armatnie Dżedaj korzystało z najnowszych baterii i miało 7 razy więcej Mocy co pozwoliło mu poszat-kować świetl(ł)nie Aldeka nim Króliki otworzyły ogień. Tak to zginął ostatni z 12 Oddziału 15 Korpusu 37 Dywizji 4 Armii Chomików Zmotoryzowanych. Nie umarł jednak bez sensu, gdyż zapoczątkował ostateczne starcie tej pięknej bitwy, która trwała jeszcze długo i doskonale użyźniła pobliskie pola. Tak też zginął ostatni z tych, co wiedzieli czemu podrapał się dziadek Triceratops. Nie znane jest też jego miejsce pochówku, bo pijany grabarz – weteran Żółwi Lotniczych, który tego dnia dora-biał jako ksiądz na pogrzebie, stwierdził: "Zebrałiśmy się tu, aby uczcić śmierć paciorkowca, który powiesił się na 12745 kosmku jelitowym. Był on wspaniałym człowiekiem w prawdziwym znaczeniu tego słowa". Zdezorientowało to rodzinę, której nie udało się dowieść, że Aldek nie powiesił się, a zginął w honorowej walce.

Ale wracając do powodów drapania dziadka Triceratopsa. Nikt więc nigdy nie dowiedziałyby się tego, gdyby nie to,

że jestem narra-torem trzecioosobowym i wszystko wiedzącym (co prawda na początku tekstu jeszcze tego nie wiedziałem, ale w międzyczasie dostałem SMSa). Otóż powodem drapania było swędzenie, które to wynikało z ugryzienia przez pchłę. Pchła ta, tego dnia rano wychodząc do pracy, poinformowała swą żonę, że dziś dokona czegoś co przejdzie do historii (zainteresowanych innymi zdolnościami paranormalnymi pcheł zapraszam do lektury mojej książki pt.: "Pchły, które leczą"). Jednak nie dane było tej pchle dojść do pracy w kamieniołomie "Naskórek i Ska", gdyż po drodze potknęła się i wpadła pod fałdę tłuszczu. Uznała, że jedyny sposób wydostania się to przegryzienie się na zewnątrz. No i dziadek Triceratops się podrapał, zabijając pchłę i niszcząc największe miasto Załopacie Wielkie. Rząd pcheł, który natychmiast przeniósł się do Pośladkowa Dolnego, natychmiast wypowiedział wojnę wszystkim Triceratopsom. Rozpoczęło to krwawą walkę. Pchły przestały w sposób łagodny i ochronny pracować dla żywiciela, ale przeszły na gospodarę ekspansyjną, poczynając od odwiertów. Jednakże pchły nie były zbyt dobre z biologii i nie odróżniały Triceratopsów od innych dinozaurów. To doprowadziło do wymarcia wszystkich dinozaurów, a skoro wymarli żywiciele to i Pchły Dinozaurowate też wymarły i przetrwały tylko małe, pokojowo nastawione Pchły Zwyczajne. A potem wszystkie ssaki żyły długo i szczęśliwie, aż przyszedł człowiek.

Ale to zupełnie inna historia.

Przeminęło z falą uderzeniową

Konrad Grochowski

Michałowi Fataliście, bo zawsze gdy fatalizuje przypomina mi, że w moim rozumieniu świata nie warto być fatalistą. (wbrew pozorom ta dedykacja jest jak najbardziej pozytywna).

[godz. 0:00]

...naprawdę mi się nie podobało, więc z lubością przerwałem czytanie przygód Szkielet O'Hary, by podrapać się po lewej brodawce na górnej wypustce, przy trzeciej ręce. Niestety musiałem wrócić do lektury, gdyż była ona obowiązkowa jako pierwszy melodramat ery postnuklearnej. Pierwszy i jak na razie jedyny. Pewnie tylko dlatego obowiązkowy, bo osobiście uważam, że autorce/autorowi (to jedno z tych ludzi, którym promieniowanie zniszczyło... no wiecie, ten tego) przeminął z falą uderzeniową mózg (nie mówiąc o organach opisanych w poprzednim nawiasie). Jednak poczucie obowiązku doprowadziło mnie do końca rozdziału. Poczucie obowiązku było jednak słabsze od konieczności zachowania mózgu w czterech kawałkach. Poszedłem się więc przewietrzyć, wcześniej szczelnie zamykając książkę – tak na wszelki wypadek. Pierwszy dobry łyk tlenu azotu przywrócił mnie do normalnego świata. Postanowiłem się przejść. Idąc ulicami Warszawy (choć ciężko było stwierdzić różnicę między ulicą a wieżowcem) i potykając się co trochę o jakieś odłamki budynków, dotarłem na Starówkę (omijając Park oczywiście, bo odkąd widziałem wybiegające stamtąd drzewo, w którym bawiłem się w dzieciństwie, ogarniało mnie dziwne uczucie (nie strach bynajmniej!) na myśl o przejściu przez Park). Szwendałem się po gruzach, odtwarzając w myślach układ ulic, takie małe ćwiczenie dla pamięci. Zamyśliłem się tak bardzo, że nie zauważyłem nawet jak dotarłem na Bednarską. Uświadomiło mnie o tym uczucie zjeżdżania w dół, po dużej stromiznie, z niebagatelną prędkością. Zapomniałem, że Skarpa poczęła się osuwać i jest trochę bardziej stroma. Od niechybnej śmierci w bajorze wypełnionym "wodą" wiślaną, leżącym w leju u podnóża Skarpy, uratował mnie wielki metalowy palec. Tak, to brzmi

dziwnie i mnie też zdziwiło, szczególnie, że po bliższych oględzinach okazał się być palcem ze Statuy Wolności. Po głębszym zastanowieniu doszedłem jednak do wniosku, że przy odpowiednim czasoprzestrzennym układzie eksplozji mógł on dotrzeć aż tutaj. Ponieważ zawsze lubiłem zagadnienia fizyczne, a to było szczególnie ciekawe, nawet nie zauważyłem, że tak idąc na pamięć trafiłem do Parku.

[godz. 0:40. Muszę iść spać, bo jut... dziś jestem umówiony z Magdą. Na Starówce. Pójdę przez Park.]

[godz. 0:45. Piszę jednak dalej. Wena to wena.]

Zorientowałem się gdzie jestem dopiero stojąc w środku Parku. Wracać nie było sensu, więc poszedłem naprzód. Ponieważ mój umysł był wciąż zmęczony trasą Nowy Jork – Warszawa przez oba bieguny, oraz zalany adrenaliną (dziwne, ale niezmutowaną), niewiele pamiętam z tej wizyty. Pewien jestem tylko, że drzewa okazały się o wiele przyjaźniejsze niż się mi wydawało. Na następny dzień umówiłem się z nimi na partię szachów, a z kilkoma krzakami na bierki (muszę ćwiczyć zręczność trzeciej ręki). Kiedy dotarłem w końcu do domu, jak zwykle na ławeczce, na małym placu zabaw siedziała mała grupka. Im to dobrze: czy to deszcz, czy śnieg, czy fala uderzeniowa, faceci siedzą na ławce i klną, a dziewczęta przy nich się wdzięczą i rechoczą, ewentualnie próbują przebić ich bluzgi. Jedyne co się w ostatnim czasie zmienia, to ich wygląd zewnętrzny. Wyrosło im trochę więcej kończyn. Ale dziś przyjrzałem im się lepiej i przestałem im zazdrościć. Zauważyłem, że coraz trudniej odróżnić Wdzięczące od Klnących. Zamieniają się w jednolitą, bezkształtną, rechoczącą galaretkę. Im bardziej galaretowieją, tym bardziej ich nigdy nie używany mózg rozpuszcza się, a oni robią się weselsi, więc bardziej galaretowieją i koło się zamyka. Niedługo staną się jedną wielką kluchą, przerośniętym pantofelkiem. Boże! Jak to dobrze po ciężkim dniu podbudować się optymistyczną wizją. Zastanowiło mnie tylko, gdzie ta klucha będzie mieszkać. Chyba codziennie u innego swego składnika. Brr... to

oznacza, że czasem wpełźnie na moją klatkę. Byleby nie zostało po niej wiele śluzu. Ale należy się Wam odpowiedź na pytanie, dlaczego napisałem o klatce, skoro wcześniej o gruzach. Otóż mój blok to dobra socrealistyczna robota lat pięćdziesiątych – wielkie kolumny i półmetrowej grubości ściany (średnia z przedziału jedna cegła – dwa metry). I wytrzymał. Metro się zaważyło, a on wytrzymał (przepraszam! – w metrze wytrzymały drzwi przeciwbombowe). Kiedy w końcu wziąłem do ręki "Przeminęło z falą uderzeniową", zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem zmęczony, więc zostawiwszy oko otwarte tylko na podczerwień, poszedłem spać.

[Już 1:00, a ja nie chcę się spóźnić do Magdy, bo po drodze jeszcze czeka mnie partia szachów z klonem. Nie! Zaraz! Ja o tym tylko piszę! Aaa! Czuję utratę własnej osobowości. Lepiej pójdę spać. Zresztą ręka mnie boli od pisania, powieki ważą tonę, a jeśli spóźnię się godzinę, to Magda może mnie nie zabije, ale chyba sobie pójdzie. No, odtóż w końcu ten długopis. Spać!]

[22:30 Dzięki różnym cudownym zjawiskom udało mi się nie spóźnić i nawet wrócić, ale już nie przez Park. Nie mam siły robić matmy, więc będę pisał. No to zaczynamy.]

Moje oko na podczerwień zostało rano mocno pobudzone (zresztą jak zwykle) przez przemarsz protestantów z pochodniami przeciw współlistnieniu ich – normalnych – i mutantów na jednej Ziemi. Biedacy, chyba dawno lustra nie widzieli... Z radosnymi okrzykami zatrzymali się na skwerku po drugiej stronie ulicy. Spotkali tam na ławce śpiącego niezmutowanego. Facet miał szczęście. Dobre tanie polskie wino zapewniało mu błogi sen praktycznie codziennie. Po prostu przespał falę uderzeniową i mutację. Radosne okrzyki tłumu też nie zrobiły na nim wrażenia. Uśmiechnął się tylko błogo i mocniej przytulił butelkę do piersi. Jakiś obudzony krzak począł krzyżeć na ludzi, by sobie poszli i nie budzili całego parku. Tłum entuzjastycznie rzucił się z pochodniami na krzak. Po rytualnym oczyszczeniu ogniem krzaka z mutacji i rozsypaniu popiołów na cztery wiatry, przewodniczący tego zgromadzenia wygłosił przepiękną mowę na temat roli ich ugrupowania

w cywilizowanym świecie i ich humanitarnych celach. Swoją drogą, przewodniczący chyba najdłużej nie patrzył w lustro. Przysłuchując się jego oracjom zdążyłem się ubrać i splukać co większe bakterie HCl'em. Starając się nie myśleć o krzaku, udałem się na partyjkę szachów.

[Ble! Mój mózg chce chwilę odpocząć. Spakuję się na jutro i piszę dalej.]

[23:15. Dobra, chcę dziś jeszcze poczytać coś (dla przyjemności), więc napiszę tylko o tym, co chciałem napisać siadając do tego zeszytu.]

Wychodząc zaobserwowałem ciekawe zjawisko. Po pierwsze: przyszła klucha siedziała na zewnątrz, gdy było jasno. Po drugie: przesiadła się na ławkę bliżej piaskownicy. Doszedłem do wniosku, że nie muszę już bać się śluzu na klatce. Przyszła klucha będzie tu najwyraźniej siedzieć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To miłe. Szczególnie, że ławka przy piaskownicy jest dalej. Jeśli ktoś zastanawia się, czemu się przesiedli, to niech przypomni sobie, że niektóre pierwotniaki (bodajże ameba) wykazują chemotaksję kwasową dodatnią, czyli pełzną do kwasu. A wiecie: przez siedemnaście lat moich obserwacji wspomniana wcześniej piaskownica służyła tylko za kuwetę dla wszystkich psiórków z okolicy, więc sami rozumiecie. Tak wogóle to poczułem się winny nazywając galaretę pantofelkiem. Przecież on miał fototaksję, a poza tym galareta od razu powinna kojarzyć się z nibynózkami. Ech, nigdy nie byłem dobry z biologii, biedny mat-fiz. To może ja umówiłem się na te szachy z dębem, a nie z klonem? Tak czy siak, wolałem się pośpieszyć, bo przez obserwację tej kolonii pierwotniaków straciłem dużo czasu. Szybkim marszem, z podskokiem na ogonie, podążyłem do Parku.

[23:30. Czy naszemu bohaterowi uda się tam dojść? Czy wygra w szachy? Ile wynosi logarytm o podstawie 1999! z pierwiastka stopnia $-2/3$ z -2 ? Na niektóre z tych pytań odpowiem Ci, drogi zeszyt, przy następnym pisaniu. Czas zjeść kolację.]

[23:20. Liczyłem, że dziś napiszę coś w dzień. Ale niestety. I tak jest wcześniej. Nie przedłużam więc.]

W parku, niestety, nie zastałem mojego partnera do gry. Okoliczne krza-

ki twierdziły, że przez noc bardzo rozwinęły mu się mięśnie, podobno kosztem mózgu. Dziś rano odezwał się w klonie zew natury i pobiegł polować na gepardy. Zrobiło mi się trochę smutno. Widać roślinom nie była pisana inteligencja. Nie przeszkadzało mi to jednak grać z nimi pół dnia w bierki. Po południu znów odezwało się poczucie obowiązku i wróciłem czytać "Przełminięło falą uderzeniową". Musiałem to przeczytać. Jutro trzeba będzie iść do szkoły.

[Tak, rozumiem ból mojego bohatera, jednak nie przerwę pisania i doprowadzę jego tragiczne losy do końca.]

W szkole, oprócz (o dziwo) znudzenia, pojawiło się we mnie nowe uczucie. Była to chęć wybiegnięcia na zewnątrz i wydania z siebie donośnego



krzyku. Na szczęście w szkole nie było już wewnątrz i zewnątrz. Ale gdy podobne uczucie dopadło mnie na matmie, poczułem się zastanawiać. Znudzenie wytłumaczyłem tym, że lekcję prowadziła biedna istota, która chciała zakończyć swą edukację niezależnie od sytuacji na świecie (zresztą jak ci wszyscy, którzy tu zostali, po to chyba tylko, by nie zgłupieć i mieć co robić), a resztę odczuć uznałem za efekty uboczne. Jednak gdy sytuacja powtórzyła się na fizyce, poczułem się poważnie zaniepokojony. Szczególnie, że dołączyło się do tego wszystkiego pragnienie złapania dwóch cegieł i tłuczenia ich o siebie. Ze szkoły wyszedłem, delikatnie rzecz ujmując, wytrącony z równowagi. Gdy na ulicy spotkałem ludzi, słuchających wywodu jakiejś kobiety o biosyntezie termojądrowej w ludzkim mózgu*,

poczułem się totalnie zagubiony i właściwie biegiem podążyłem ku swym rodzinnym stronom, by tam szukać wytchnienia. Ponieważ potrzebowałem jakiegoś towarzystwa z $IQ > 0$, udałem się do parku. Tam panowała jednak całkowita anarchia, a rośliny stały się nie tyle co drapieżne, ale bezsensownie agresywne. Drzewi zatrzasnałem z sercem w gardle. Trzęsącymi się rękoma łapałem się czegokolwiek, co odwróciłoby moją uwagę od świata i pobudzało do myślenia (książek, krzyżówek, nawet pracy domowej). Jednak bezskutecznie. Moje oczy wciąż same kierowały się na dwie cegły leżące na parapecie. W końcu, nie wiedząc co robię, wstałem i zacząłem zbliżać się do nich z wyciągniętymi rękoma i uczuciem błogości na sercu. Gdy stuknąłem nimi pierwszy raz, uśmiechnąłem się i poczułem jak nosem, na podłogę, skapuje mi resztką mózgu...

W centrum miasta, po wielowiekowej nieobecności na Ziemi, pojawił się monolit. Od kilku ostatnich godzin zbierał dane. Był dziś czarniejszy niż gdy pierwszy raz zawital na Błękitnej Planecie. Po dokonaniu ostatniego rachunku, począł czernieć wciąż bardziej i bardziej. Kilka człekokształtnych

stworów spojrzęło się na niego, trzymając kamienie w rękach, z nadzieją w oczach. On jednak pociemniał jeszcze bardziej, przekraczając nawet granicę czerni. Po chwili wszystko w okolicy poczęło czernieć, a stwory poczuły wielką siłę wpychającą je do wnętrza ciemności...

[23:57 Finito. Jestem z siebie dumny. Może nie oddałem wszystkich uczuć towarzyszących mi przy pisaniu ostatniego akapitu (który jest swoistym hołdem składanym Arthurowi C. Clarkowi), ale podniosły mi one niezłe poziomy adrenaliny. Wizja czarnej dziury w centrum miasta była fajna! Chyba coś jeszcze napiszę, ale tego już nie przeczytacie... Dziękuję za uwagę.]

* Złączone i ciut przekształcone autentyczne wypowiedzi jednej ze słuchaczek Festiwalu Nauki – przyp. autora.

Włóczykije

Ania Galuhn

Włóczykije, włóczykije!

Jak się wam na świecie żyje?

Stare porzucacie miejsca,

by gdzie indziej szukać szczęścia.

Dokąd ciągle wędrujecie

po calutkim chyba świecie?

Środkiem losu niespodzianek,

których nie jesteście panem.

Odkrywacie tajemnicę,

która się nazywa życiem.

Dni są piękne i czyste,

kiedy jesteś włóczykijem.

Błyskawica tańczy z gromem.

Ona włóczykija domem.

Włóczykije, włóczykije!

Jak się wam na świecie żyje?

Włóczykija można spotkać nie tylko w lesie. Pełno jest wokół włóczykijów. Włóczykije grają na flecie zrobionym z gałązki. Ale mogą też grać na skrzypcach, trąbce, bębenu czy fortepianie.

Było zimno i wietrznie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam takiego prawdziwego włóczykija. Otworzył mi drzwi i zaprosił do środka. A potem parzył herbatę przez ponad dwie godziny – wcale nie dlatego, żeby była wyjątkowa,

dokładnie zaparzona... Tym bardziej, że była ekspresowa, z torebki. Głos miał tak miękki, tak miły dla ucha, że czułam się jak na tratwie kołysanej przez fale.

Był śmieszny i zielony. Zmyty z górami i drzewami, z łąką i trawą... Tak! Pachniał trawą, soczystą i wiosenną. Opowiadał niesamowite historie. Mówił o księżycu, który się śmieje i o lawinie spadającej niespodzianie, ale przed którą można ukryć się w namiocie.

Postawił szalas w pokoju i rozpałił w nim ognisko. Od małej, wiśniowej świeczki tłającej się pod oknem. Nie usiadł przy ognisku ani na moment. Ciągle przynosił nowe gałązki i wrzucał je w ogień. Wtedy pojawiały się iskry. I leciały w niebo jak małe baloniki. By zniknąć gdzieś w powietrzu, umknąć.

Potem szedł nad rzekę. Zanurzał wzrok w horyzoncie i marzył o kolejnych podróżach. I czekał na deszcz,

który spadnie z góry na ziemię i połączy rozgwieżdżone otchłanie z ziemskimi.



Często się modlił. Prosił i dziękował. Mówił o swoich lękach, choć pozornie nie bał się niczego. Pragnął wolności, ale nie wierzył w szczęście. Ciągle coś przepływało mu między palcami. I żadne siły nie były w stanie tego zatrzymać. Chciał kochać, ale nie potrafił komuś siebie oddać, zostawić w jakimś miejscu. A nie wierzył w to, że pewnego dnia ktoś zechce ruszyć z nim w świat.

Odnóże redakcyjne

(sporządził Ryszard Paweł Kostecki)

anyten@wp.pl

Anyten nie istniałby do dziś i nie byłby tym czym jest, gdyby nie praca, zaangażowanie i poświęcenie plejady redaktorów (w kolejności alfabetycznej):

Agatka Chilińska/korekta: #17.

Marta Cieślukowska/fotograf: #12,#13.

Mariusz Czarnocki-Cieciura (Czarny)/skład: #18-#20.

Tomek Fruboes (Fru)/redaktor: #1; autor nazwy "Anyten Mlek".

Adam Gąsiewicz (Jurij)/redaktor: #1-#6; grafik: #1-#13.

Marek Górski (Góral)/sprzedawca: #5,#6.

Konrad Grochowski (Groch)/sprzedawca: #4-#6;

redaktor: #7; skład: #8-#14; redaktor naczelny: #13-#16.

Rafał Gutaker/korekta: #18,#19.

Rysiek Kostecki (Rysiek)/założyciel; redaktor naczelny: #1-#3,#20;

skład: #1-#4,#7; korekta: #1-#7,#13,#14,#20;

Karolina Kuczyńska (Qczyna)/redaktor: #1-#4; redaktor naczelny: #5-#11.

Paweł Lubowiecki (Pawlo)/redaktor: #11; redaktor naczelny: #12,#13.

Łukasz Omasta (Skaven)/skład: #1; redaktor: #1-#6;

redaktor naczelny: #4; sprzedawca: #1-#13.

Marcin Mrzygłocki (Szcurek)/redaktor naczelny: #19.

Marcin Sawicki (Savik)/redaktor: #2-#14; skład: #2-#6;

redaktor naczelny: #4i1/2; menedżer finansowy: #5-#14.

Grzesiek Smulko (Okli)/składacz: #15-#17.

Zuzia Stankiewicz/redaktor naczelny: #18.

Hania Szuszkiewicz/korekta: #9,#11.

Mateusz Wolski (Figlarz)/redaktor finansowy: #15-#17; redaktor naczelny: #17. oraz...

Włodzimierz Natorf/honorowy członek redakcji, z uprzejmością kserujący wszystkie dotychczasowe numery AM (za co bardzo, ale to bardzo, dziękujemy!)

Autorami grafik zamieszczonych w tym numerze są Marta Czarnocka-Cieciura, Ania Galuhn, Adam Gąsiewicz (Jurij), Konrad Grochowski (Groch), Jacek Kopeć, Kasia Kluge (Koszatka), Ania Rogowska, Sebastian Zakrzewski (Bastek), oraz może ktoś jeszcze.

Autorem anytenowego byczka z różą w zębach jest Ania Rogowska. Grafika na stronie tytułowej bieżącego numeru to **micro/mezo/macro** autorstwa RPK. Powstała ona z połączenia zdjęć kolizji cząstek elementarnych w akceleratorze, ludzkiej czaszki oraz dysku akrecyjnego wokół czarnej dziury.

Wraz z numerem 20 została wydana płyta CD, zawierająca:

- * Pełne archiwum wszystkich numerów Anytena (w formacie pdf),
- * Antologię przygód Youki Pouka, autorstwa Pawła Lubowieckiego,
- * Bajki matematyczne Zuzi Pacholczyk,
- * Zebraną edycję komiksów z przygodami kapitana Malesha Witka Załogi,
- * Program analizy danych Panda 5, autorstwa Ryśka Kosteckiego oraz Konrada Grochowskiego (który przejął kod i pieczę nad programem),
- * Kilka utworów muzycznych Piotрка Traczyka (zespół Vara oraz Traq & friends),
- * Różne różności i inne różności

Na zakończenie chciałbym podziękować Mariuszowi C-C (na zdjęciu obok), bez zaangażowania którego numer ten, jak i płyta, nigdy by nie powstały, bo to on złożył w całość wszystkie teksty, przerobił archiwalne Anyteny do plików pdf, a także wprowadzał kolejne poprawki zgłaszane przeze mnie w niekończącym się pasażu korekt. Temu panu dziękujemy.



